№ 24 Warszawa, dnia 30 Maja (11 Czerwca) roku 1881.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr. 1530 (nowy 20).

Don Pedro Calderon de la Barca.

Przez **S. z Ż. Duchińską.**

(Dokończenie).

Dramata historyczne Calderona mało się różnią od jego mysteryów. Grunt ich wprawdzie rzeczywistszy; w miejsce uosobionych symbolów i mystycznych postaci, występują typy drgające życiem; a przecież i tu cudowność wielką odgrywa rolę. Do najcelniejszych utworów z tego działu należy dramat *El principe Constante* (Książę niezłomny), przełożony u nas świetnem piórem Juljusza Słowackiego. Rozpoczynamy więc przegląd od tego wspaniałego poematu.

Treść rzeczy stanowi wyprawa na Maurów afrykańskich, przedsięwzięta w roku 1438 przez dwóch Infantów portugalskich, don Fernanda i don Henryka.

Wyprawa ta zakończyła się słynną w dziejach klęską chrześcian pod Tangerem; wojska ich poszły w rozsypkę, książę Ferdynand okuty w więzy wtrącony został do więzienia, gdzie umarł po pięcioletnich mękach. Ciało jego sprowadzono później do Lizbony i pogrzebano tam ze czcią należną świętym męczennikom za wiarę.

Akt pierwszy rozpoczyna się w pysznych ogrodach króla Feru. Młoda królewna kocha Muley-Hassana, naczelnego wodza wojsk królewskich. Przybiega Mulay, oznajmia że flota chrześciańska pod chorągwią dwóch portugalskich Infantów zbliża się do przystani. Król wyprawia Muleya, by zastąpił jej drogę. Próżne usiłowania; Don Fernando przybija do lądu, znosi Maurów, pochwyca naczelnego ich wodza. Tu następuje długi dyalog; Muley wyznaje miłość swą dla królewny i dręcząca go trwogę. Jeśli on pozostanie w więzach, król Fezu zmusi córkę do oddania ręki księciu marokańskiemu. Szlachetny Fernand wraca wolność jeńcowi, nie żąda nawet okupu. Ledwie że to uczynił, wpada oddział Marokanów z księciem na czele, pochwyca don Fernanda.

Bohaterski Infant wśród twardych prób daje dowody niezłomnej wytrwałości i odwagi. Zrazu król Fezu obchodzi się z nim wspaniałomyślnie. W okup za głowę jego żąda Ceuty, warownej twierdzy, zdobytej niedawno przez Portugalczyków w Afryce. W tem właśnie nieprzeparta zachodzi trudność. Król portugalski don Alonzo, umarł z boleści, otrzymawszy wieść o klęsce i niewoli brata. Przed skonem żądał by Ceutę oddano w okup. Młodszy brat don Henryk, okryty żałobą przybywa do Fezu, by spełnić to zlecenie. Za pierwszem słowem Fernand stawia niezłomny opór.

DON FERNAND (*wyrywając pargamin z rąk Henryka*).

Stój bracie! *)
Słowa te pełne pokłonu,
Nie tylko że nie są godne
Krwi królewskiej, i wyrodne,
Nie godne są ust Infanta,
Nie godne mistrza zakonu,
I nie godne są człowieka?
...Jakżeby król katolicki,
Jak on wierny, sprawiedliwy,
Taki król, jak on! nieżywy,
Na swój proch oddany laurom,
Kładł taką okropną plamę?
By Ceutę oddawać Maurom!
Tę Ceutę — miasto te same,
Gdzie on pierwszy zdjęty żarem
W imię Przenajświętsze Pańskie
Ze szpadą i ze sztandarem
Przyskoczył i chrześciańskie
Chorągwie zatknął na wieżach!
...I byłożby sprawiedliwie,
Abyśmy te Boże gmachy,
Gdzie my stoim jak szyldwachy,
Mając cały świat przed nami,
W zatrwożeniu i podziwie
Teraz otwierali sami,
Wpuszczając tam nasze wrogi?
Ażeby ten lud ubogi
Chrześciański a gorący,
Z miasta wychodził płaczący
Z dobytkiem, z całą rodziną,
A my, na te łzy co płyną,
Patrzalibyśmy gnąc szpady?

. . . .

Więc dla jednego żywota,
Tyle chrześciańskich żywotów!
Tyle łez wylanych z powiek!
Cóż ja, czym więcej, niż człowiek?
Cóż mnie różni z ludzi likiem?
Czy to że byłem Infantem?
Więc oto nie Infant ze mnie,
Oto jestem niewolnikiem,
Już nie korony brylantem,
Gotów jak drudzy nikczemnie
Żyć tu i pana bogacić!
I któż wam każe tak płacić
Za niewolnika? niech płaci
Niewolnik ciałem i gardłem!
Bo kto swą wolność zatraci
Ten, mówię, ludziom umiera.
Więc ja dawno już umarłem —
Któż mnie dziś z trumny wydziera?
Któż chowa na większe czyny?

---

*) Przekład Juljusza Słowackiego.

Daj! — niech drę te pargaminy!
Niech drę na świstki tę kartę!
Niech drę na kawałki gadu —
Niech jeszcze zjem je podarte,
By nie zostało z nich śladu.

(Drze pargaminy i kawałki połyka).

Na tym oporze Infanta oparty cały dramat. „Przecz się wzbraniasz wydać Ceutę? zapytuje zwycięzki Maur; „Bo jest Bożą a nie moją!" odpowiada niezłomny książę. Uniesiony gniewem król, rozkazuje strącić Fernanda do rzędu prostych jeńców. Widzimy go, jak w tłumie okutych w więzy Portugalczyków, niepoznany przez nich, spełnia z nimi najtwardsze prace. Serce pęka mu z bólu, gdy słyszy, jak ufni w dobroć Infanta, na oddaniu Ceuty budują własną wolność. Coraz nowe następują próby. Wdzięczny wódz Maurów Mulley, wdziera się tajemnie do więzienia, przyrzeka ułatwić Infantowi ucieczkę. Książę nie przyjmuje ofiary, okupionej zgubą szlachetnego przyjaciela. Wreszcie wyczerpany z sił pracą i poniewierką, w ciężką wpada chorobę... a przeciez nie ustąpi! Ceuta w oczach jego to święte przedmurze chrześciaństwa; wyżej ceni te obronne wały, niżeli własną wolność. Próżno Muley z królewną błagają króla za Infantem. Król twardy jak skała, domaga się Ceuty. Don Fernand umiera nakoniec; dusza jego niezłomna aż do chwili ostatniej. Ledwie że skonał, młody król Alonzo, bratanek jego, wiedzie liczne galery do przystani. Pod murami Fezu toczy się najzaciętsza walka. Zapada noc, Maurowie górą! Wtem, na czele zbrojnego zastępu ukazuje się duch Fernanda; trzyma w ręku płonącą głownię. Portugalczycy, ukrzepieni cudownem zjawiskiem, walczą jak lwy i zupełny odnoszą tryumf.

Ostatnia scena przedstawia krwią zlane pobojowisko: zorza rumieni baszty Fezu, po jednej stronie Alfons z wojskiem, po drugiej Maurowie okuci w więzy. Duch Fernanda żegna bratanka i zwycięzkich Portugalczyków:

Przez ciemności i mrok siny,
Przez skały i rozpadliny,
Gdzie orzeł latać się lęka,
Prowadziłem was bezpiecznych,
Oto różanna jutrzenka,
Oto Fez w ogniach słonecznych!
Więcej mi Bóg nie pozwoli,
Wykupcie proch mój z niewoli!

Dramat ten dziś jeszcze odgrywany, porywa serca młodych pokoleń, jak niegdyś porywał praojców. Przełożony przez Schlegla na język niemiecki, grywany był często na teatrze wejmarskim, pod dyrekcyą Goethego; niesłychane znalazł tam powodzenie.

Inny dramat, *Życie snem,* szczególnie nas zajmuje, rzecz bowiem odbywa się w Polsce. Fantastyczna to jakaś Polska, najeżona stromemi skały, sterczącemi nad morzem i to w pobliżu stolicy. Ale jeźli Calderon stworzył kraj nasz na obraz i podobieństwo Hiszpanii, kędy o krawędzie Pirenejów rozbijają się z szumem fale Atlantyku, jeźli poeta zminął się całkiem z jeografią, nie lepiej ją znają dzisiejsi jego krytycy. Mamy przed sobą komentarz Hartzerbuska, w miejsce gdzie idzie wzmianka o morzu, erudyta kładzie taki przypis: „Polska nie miała portów. Staw w ogrodzie zamkowym, został morzem dzięki poetycznej przenośni!" Zapomniał krytyk, że za czasów Calderona i długo jeszcze po nim Gdańsk był portowem miastem Polski, szerokiej od Baltyku do Euxynu.

Bohater dramatu, niemniej też fantastyczny, jest nim królewicz Zygmunt, syn króla Bazylego Ten król oddany astrologii, wyczytał w gwiazdach, iż jedyny jego syn będzie okrutnikiem, plagą swego narodu. W chwili gdy się urodził, słońce krwawą zabiegło chmurą, niebo sypnęło gradem kamieni, miasto zatrzęsło się w posadach. Aby uchronić kraj od zguby, trzyma syna w baszcie warownej pod strażą starego ochmistrza Klotalda, rozgłosiwszy przed światem, że dziecię zmarło wraz z matką zaraz po urodzeniu.

Dziecię wyrosło na młodziana: umysł jego badawczy i chciwy wiedzy, ale czoło ponure, wzrok dziki, pierś wezbrana goryczą. Nieświadomy rodu swego, przez kratę wązkiego okienka pogląda z łatwością na świat Boży; zazdrości ptaszynom lotnych skrzydeł, rybkom pluskających skrzeli, zwierzętom rogów i pazurów. On wyższy od tych istot, a przecież dłoń jego skrępowana powrozem, nogom jego nie wybiedz za próg tej wilgotnej ciemnicy!

Król Bazyli, dbały o przyszłe losy kraju, powołuje siostrzana z dalekich gdzieś krańców Północy: zamierza oddać mu tron i berło. Sumienie wyrzuca mu przecież zgubę własnego dziecka. Dręczy go niemniej myśl, że na oślep zaufał gwiazdom; azaliż wolna wola dana człowiekowi, zwalczyć nie może fatalnego wpływu ciał niebieskich? Postanawia zatem wykonać stanowczą próbę. Z rozkazu króla Klotalda usypia Zygmunta narkotykiem; sennego słudzy przenoszą do pałacu, kładą go na złotolitym wezgłowiu. Gdy się zbudził dwór oddaje mu pokłony; mieni go królem a panem swoim.

I jakże Zygmunt używa swej potęgi? Oto czyni z niej narzędzie pomsty za lata przetrwane w więzach i upokorzeniu. Znieważa ojca, odpędza przewodnika lat młodych, strąca w przepaść rycerza, który poważył się dać mu zbawienną radę. Jak potok nagle wyrwany z łożyska, pochłania wszystko co mu staje na drodze, tak i królewicz, depcze po karkach ludzkich, wszystko niszczy i burzy. Stary król, dbały o szczęście ludu, znów usypia szaleńca narkotykiem. Zygmunt budzi się za kratą więzienną.

Ta chwila blasku i potęgi byłażby snem tylko? zapytuje sam siebie. Jeszcze nie rozwiązał zagadki, gdy u stóp wieży powstaje zgiełk i wrzawa. Zbrojny zastęp wyłamuje zaryglowaną kratę, rozkuwa z łańcuchów ręce i nogi więźnia.

— Niech żyje król Zygmunt! wołają liczne głosy.

Za rycerstwem wpada stary ochmistrz, oznajmia księciu, że król Bazyli oddał władzę w ręce siostrzana przybyłego od lodowisk północnych, lecz naród nie podda się pod jarzmo obcego przybysza, gotów stanąć z orężem po stronie prawego następcy. Zygmunt przyjmuje władzę, nauczony doświadczeniem spełnia ją rozstropnie, umie zapanować sam nad sobą, nie nadużyje szczęścia. Potęgą woli skruszył złowrogie fatum. Stary Bazyli błogosławi syna, mieni go chlubą swoją. Przybysz zbiega w lody północy; na tem kończy się dramat, osnuty na zmyślonym wątku dziejów naszych.

Nie obwiniajmy jednak zbytecznie Calderona o nieuctwo. Nie z naszą tylko historyą i jeografią obszedł się on w tak śmiały sposób. W owych czasach, dalekich od realizmu, poeci szukali tylko psychicznej i filozoficznej prawdy. Tak samo czynił Lope de Vega, tak samo czynił wielki Szekspir.

Calderon uczeń wszechnicy salamanckiej, znał niewątpliwie dzieje Rzymu, a przecież w dramacie jednym czyni Corgolana wodzem Romulusowych wojsk, małżonkę jego Weturgę, liczy do Rzymianek porwanych przez Sabinów. Dunaj znany był dobrze Hiszpanom za panowania domu habsburskiego, a przecież poeta ukazuje koryto rzeki pomiędzy Rosyą a Szwecyą. Według niego Jerozolima leży nad brzebiem morskim; Herodot opisywał już Amerykę, Uligzes z Cyru rozbiera metafizyczne zagadnienia, jak w salonie madryckim. Judasz Machabeusz, Herod, tetrarcha Judei, Zenobia królowa Palmiry i Inkasy peruwiańscy, wszystko to panowie pełni ogłady dworskiej, u dworu Filipa IV.

Słowem, wszędzie i zawsze Calderon pozostał ściśle narodowym, w bohaterach swoich, branych ze świata, pokazuje współczesnych Hiszpanów. Bez względu na anachronizm, stroi wszystkich w hiszpańskie płaszcze, kryzy i hełmy z pióropuszem. Na barki Koryolana wdziewa zbroję don Juana austryackiego; Arystotelesa pokazuje w ufryzowanej peruce, w trzewikach ze sprzączkami. Dyabeł występuje w todze mistrza wszechnicy salamanckiej, z tą różnicą, że z pod beretu wyglądają mu rogi. To też dramata Calderona, jeśli w najdziwniejszem świetle pokazują obce narodowości, wielką mają za to ważność historyczną, będąc wiernym obrazem hiszpańskiego narodu.

Szczupłe ramy nasze nie pozwalają nam wymienić nawet z tytułu kilkudziesięciu dramatów Calderona, czy to historycznych, czy też wysnutych z domowego życia Hiszpanów. Wsród tych ostatnich najwierniejszym wyrazem życia narodowego jest dramat p. t. *Lekarz swego honoru.* Osoby w nim historyczne, ale treść wysnuta jedynie z wyobraźni.

Widzimy tu podejrzliwego męża, szarpanego gwałtowną zazdrością. Zona droższą mu nad życie, ale nad nią droższy mu jeszcze honor. Czciciel domowego ogniska, nie zniesie najdrobniejszej na nim skazy. Rzecz dzieje się za czasów Piotra Okrutnego. Brat królewski Henryk z Transtamaru, kochał piękną Muncyą, panienkę z zacnego gniazda, ale król nie pozwolił na ten związek, wkrótce potem poślubił Muncyą don Guttiere de Lotas; małżonkowie żyli w przykładnej zgodzie i miłości, książę Henryk tymczasem walczył w dalekich krajach.

Nagle Henryk powraca do Sewilli, spotyka Muncyą; dawna miłość z gwałtowną siłą budzi się w jego sercu. Zniewala sobie służbę, wdziera się do pałacu ukochanej. Ona wcale nie podziela jego uczuć; aby od nowych uwolnić się odwiedzin, gdy odszedł, pisze do niego list, błaga aby uszanował jej cześć i domowy jej spokój.

Mąż zastaje piszącą żonę, wydziera list z jej ręki; spostrzega na ziemi sztylet przypadkiem upuszczony przez Henryka. Przerażona Muncya upada bez zmysłów. Gdy przyszła do siebie, widzi na stole papier. na nim skreślony straszny wyrok:

Moje serce cię kocha, lecz zabić cię muszę.
Znieważony mój honor... nie scierpię twej winy;
Dwie tobie do pokuty zostawiam godziny,
Życia już nie ocalisz, — ocalże twą duszę.

Ubiegły dwie godziny, zapadła noc. Guttiere przybywa, prowadzi chirurga z oczyma zawiązanemi; zdziera mu z głowy zasłonę, uchyla drzwi przyległej komnaty.

GUTTIERE.
Co tam widzisz?

LUDOWICO.

Widzę łoże!...
Co? umarły?... trup!... mój Boże,
Dwie gromnice przed nim płoną,
Krzyż na piersi Chrystusowy...
Widzę tylko kształty głowy,
Lic nie dojrzeć pod zasłoną.

GUTTIERE.

To trup żywy!... zdrój krwi świeżej,
Wrząco jeszcze w żyłach bieży,
Ty masz zadać śmierć!

LUDOWICO.

O Nieba!

GUTTIERE.

Krew wypuścić z żył potrzeba,
Niech do kropli wszystka ściecze,
Zapuść w żyłę lancet śmiało,
Życie ranką zbieży małą.

LUDOWICO *(przerażony)*.

Ależ!

GUTTIERE.

Biada ci człowiecze.
Gdy nie spełnisz woli mojej,
Posłuszeństwo, albo śmierć!

Chirurg uległ ze strachu, ale gdy go wyprowadzono z domu żałobnego, z zawiązanemi znów oczyma przyłożył do muru zbroczoną we krwi rękę. Nazajutrz oznajmia królowi co się stało; król pośpiesza na miejsce, uwzględnia morderstwo. Plamę czci wyrządzoną krew tylko obmyć może!

Charakterystyczny ten dramat pozostał dotąd popularnym w Hiszpanii.

Przejdźmy wreszcie do komedyi Calderona. Wszystkie noszą piętno geniuszu: pełno w nich blasku, ruchu i życia. Zgodnie z duchem epoki i usposobieniem Hiszpanów, przygody w nich nadzwyczajne: zmiany losu, pojedynki, *qui pro quo* wszelkiego rodzaju. Aby tem żywiej zająć chciwe wrażeń audytoryum, poeta wyprowadza na scenę wszelkie osobistości. W jednej komedyi ukazuje się Absalon zawieszony za włosy, opłakujący gorzko urodę własną. Inne komedye wysnute z podań o Aleksandrze Wielkim, z przemian Owidyusza; inne z dziejów miejscowych; zapasów z Maurami, tryumfów Karola piątego i t. p. Inne znów brane ze zwykłych przygód życia, pokazują nam ciekawe typy zakochanych Caballerosów, poważnych matron, zalotnych pań dworskich, młodych niewiniątek, przebiegłych subretek, wielkich panów, mieszczan i wieśniaków.

Krytyka dzisiejsza, zarzuca Calderonowi przesadę w dyalogach, zwłaszcza miłosnych. Aby go sądzić, potrzeba przenieść się myślą w jego czasy, a szczególniej zbadać do gruntu Hiszpanów, dla których to co my zowiemy przesadą nie było nią bynajmniej. Na samo określenie miłości, język hiszpański ma blizko dwadzieścia wyrażeń, malujących jej stopnie; kochankowie mieli też pole do rozwinięcia swej wymowy. Słuchacze Calderona wymagali przenośni poetycznych, to też poeta rzucał im kwiaty pełną ręką, puszczał do lotu całe roje skrzydlatych ptasząt, sypał w oczy tłumom miryadami gwiazd i blaskiem promieni słonecznych, z prawdziwą ich uciechą. Przytaczamy tu mały ustęp, charakteryzujący ducha komedyi hiszpańskiej.

Młody *Caballero* spotyka w ogrodzie piękną *Donnę*, która przechodzi się pod strażą poważnej *Dueni*.

Dość już tego, rzecze *Donna* wychodząc z ogrodu, odejdź *Caballero*, bardzo proszę.

Młodzian odpowiada na to:

Prośby słońca, czyż wystarczą,
By słonecznik w skwar czerwcowy,
Za ognistą jego tarczą,
Nie obracał znojnej głowy?
Próżno gwiazda, której łuna
Jasno bije od bieguna,
Magnesowi ściśle broni,
By nie zwracał oczu do niej.
Niech się magnes jak chce żali,
Nie odegna twardej stali.
Jeśli słońcem twoje lica,
W słonecznika mnie los mieni,
Jeśliś gwiazdą co przyświeca
Od północnych tam przestrzeni,
By zagoić moją ranę,
Ja magnesem wnet się stanę.
Gdy twe serce woli siłą
Magnesową chce być bryłą,
Ja w stal moją zmienię duszę,
W ślad za tobą dążyć muszę.
Tyś mi słońcem, gwiazdą moją,
Łzy i prośby cię rozbroją,
Będę wiecznie twoim cieniem,
Kwiatem, stalą i kamieniem.

Taka miłosna tirada śmieszną byłaby w dzisiejszym teatrze; dwieście lat temu, a do tego w Hiszpanii, nie raziła ona nikogo. Publiczność płaciła poecie grzmotem gorących oklasków.

Jeśli Calderon, gwoli słuchaczom swoim, dopuszcza się czasami przesady, umie on za to podnosić umysły i serca w świat najczystszych ideałów narodowych.

Tam stawia on przed oczy Hiszpanom wspaniałe wzory cnót i poświęceń, zrodzone z geniuszu narodowego. Tam pokazuje im bohaterstwo starożytnych Kastylian, o którem świadczą dotąd gruzy Numancyi, spalonej przez nich, nim wpadła w ręce rzymskich Scypionów; tam pokazuje rycerskie przygody szermierzy chrześciańskich, w siedmiowiekowych zapasach z Maurami; sam pokazuje cześć domowego ogniska, czystość obyczajów, te podwaliny gmachu społecznego. W tymto zaklętym świecie krążą wspaniałe typy, stworzone geniuszem poety, jak ów niezłomny książę najwyższy ideał patryotyzmu. Słusznie też wyrzekł krytyk amerykański Ticknor: *) Dramat Calderona oparty na najczystszych żywiołach charakteru hiszpańskiego, jest niewątpliwie jednym z najcudniejszych fenomenów w nowożytnej poezyi europejskiej!

*) History of spanish litterature, tom 2.

Do Pana Mikołaja S.

Czy znasz ty łzę cichą,
Co spływa w ukryciu?
Czy znasz ty pieśń rzewną,
Co milknie w spowiciu?
Czy znasz ty ból żalu,
Co gnębi samotnie?
Czy znasz ty głos tłumu,
Co sądzi przewrotnie!

Ty znasz to mój bracie,
I świat cię nie łudzi,
Lecz łzę miej dla siebie,
A uśmiech dla ludzi...

Czy znasz ty dłoń bratnią,
Co radość podwaja?
Czy znasz ty kwiat uczuć,
Co czarem upaja?
Czy znasz ty tę rozkosz,
Co w piersi powiewa,
Gdy dusza się wznosi
I szczęście opiewa?
Gdy poznasz to bracie,
I serce się zbudzi,
O! skryj to dla siebie,
Nie drażniąc tem ludzi...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

przez

ALEKSANDRA DUMASA.

przekład

J. B.

(Dalszy ciąg).

O dziewiątej rano wszedł do niego Kaulbach. Następca tronu prosił Benedykta do siebie na śniadanie w pałacu Herrenhausen, gdzie także miał przynieść swoje szkice. Kaulbach przybywał zabrać go tam z sobą. Śniadanie ma być o jedenastej, ale książę prosi żeby przyszedł o dziesiątej, aby mieć więcej czasu do rozmowy.

Nie tracąc czasu, Benedykt zaczął ubierać się prędko i włożył mundur, choć Kaulbach, prawie domowy w pałacu, mówił mu, że mógłby pójść i w tużurku lub w czarnym fraku. Przywdział jednak mundur marynarski, w którym jako ochotnik odbywał wyprawę do Chin; przypiął krzyż Legii Honorowej i przypasał szpadę, którą dostał w podarunku od Said-Paszy. Poczem zabrawszy swoje szkice, wsiadł z Kaulbach'em do jego powozu i udali się do pałacu.

Lenhart dostał urlop na cały ten dzień.

W niespełna pół godziny dojechali do pałacu Herrenhausen, leżącego o milkę od Hanoweru. Ponieważ powóz był otwarty, przeto gdy zajechali przed pałac Benedykt zobaczył młodego księcia stojącego w oknie i oczekującego nań niecierpliwie. Gdy weszli, j. ks. mość był sam w towarzystwie jednego tylko adiutanta, znakomitego oficera inżynieryi, który i sam był biegłym rysownikiem i znał się na rysunku.

Książę, nie wspominając nic o trzech pojedynkach Benedykta, zapytał go tylko bardzo uprzejmie o jego zdrowie. Widać było, że zna wszystkie szczegóły, o czem upewniała jeszcze obecność pułkownika Andersona, który wszedł w tej chwili jako także zaproszony na śniadanie.

Książę spojrzał kilka razy na tekę z rysunkami, którą Benedykt trzymał w ręku; widząc to Benedykt, rzekł przysuwając się:

— Wasza królewska wysokość raczył oznajmić, iż pragnie widzieć moje szkice, przynoszę album ze szkicami moich polowań, sądząc że może będą więcej zajmujące.

— O! pokaż pan, proszę, odrzekł książe wysuwając rękę.

I wziąwszy album położył je na fortepianie, i zaczął przeglądać. Przerzuciwszy parę kartek, książę zatrzymał się, mówiąc:

— Ależ to śliczne rzeczy!

Wtedy Kaulbach przysunął się i popatrzywszy chwilę zapytał:

— Więc to pana rysunki?

— A jakże! przecież nie kupiłem tego albumu, odpowiedział Benedykt.

— O! na to trzebaby być wielkim panem, rzekł Kaulbach.

— Co ten szkic przedstawia? zapytał książe.

— Jest to, odrzekł Benedykt, nie powiem „pierwszy mój wystrzał", ale „pierwsze moje ugodzenie nożem w Szandernagor."

— Jakto pierwsze ugodzenie nożem? przecież to tygrys.

— Tygrysica i jej małe.

— I zabiłeś ją pan nożem?

— Tak, mości książe.

— Czy słyszysz, Anderson? rzekł książę.

— Słyszę, odpowiedział i nie dziwi mnie to wcale. Szkoda, że nie przyszła panu myśl zadusić ją rękami. A może idąc polować na tygrysy, kładziesz pan rękawiczki jak do boksowania, dodał z uśmiechem.

— Jakże to było? zapytał książę, proszę, opowiedz nam pan.

— Ależ to rzecz tak prosta, iż obawiam się znudzić waszą królewską wysokość.

— Nie troszcz się pan o to, odrzekł książe.

— Więc spełniam rozkaz w. k. mości.

„W parę dni po przybyciu mojem do Szandernagor, dowiedziałem się o mającem się odbyć wielkiem polowaniu na lewym brzegu Hugly. Tygrysica wydała na świat młode w zaroślach żungli, prawie o dwa kilometry od mieszkania pewnego bogatego fermiera holenderskiego, któremu zadusiła murzyna i rozszarpała dwa konie. Oficerowie francuzcy postanowili urządzić obławę w okolicy, aby uwolnić ją od dzikiego zwierza, przestrach i zniszczenie szerzącego dokoła. Oznajmiłem memu gospodarzowi, iż pragnąłbym bardzo należéć do tej wyprawy; objaśnił mnie, iż powinienem udać się z tem żądaniem do pewnego starego kapitana francuzkiego, przywódzcy wszystkich podobnych wypraw, przezwanego „kapitan-Tygrys" z powodu iż zabił już niezliczoną liczbę tych zwierząt.

— Znałem go, rzekł pułkownik Anderson; miał nadwerężone oko i bliznę na jednej stronie twarzy od pazurów tygrysa.

— Tak, tak, więc już nie potrzebuję opisywać jak wyglądał, pułkownik mnie wyręczył. Ale jest tu jego portret, dodał, odwracając pare kartek. Oto on! Gdym przyszedł przyjął mnie bardzo dobrze i zapytał czy polowałem już kiedy na dzikie zwierzęta. Nigdy! odpowiedziałem nie chcąc skłamać.

— Ależ w takim razie czy jesteś pan pewnym siebie, gdyby ci się przyszło spotkać z tygrysem albo panterą.

— Tak się spodziewam.

— Wszak jesteś pełnoletni?

— Tak, już od roku

— No, to masz prawo rozporządzać sobą.

„Kapitan-Tygrys" miał zwyczaj zadawać to pytanie każdemu, dla spokoju własnego sumienia.

„Wyruszyliśmy nazajutrz; byłem uzbrojony w karabin z kulą eksplozyjną, w rewolwer i kindżał kirgizki. Dostarczono nam doskonałych koni szandernagorskich. Dla uniknienia wielkiego upału, wyjechaliśmy o piątej wieczór; do plantacyi mieliśmy przybyć między ósmą a dziewiątą. Od samego Chandernagor jechaliśmy lewem wybrzeżem rzeki Hugly, a prześliczna to i malownicza droga, ocieniona wspaniałemi drzewami: banany, palmy latanowe, mimosy, rewelanasy i inne jeszcze olbrzymy zwrotnikowe roztaczały w najczystszym eterze wspaniałe swe korony, łącząc się tu i owdzie i tworząc wysokie sklepienie po nad naszemi głowami.

„Od czasu do czasu ptak jakiś, wydający się jakby kwiat latający, przelatuje wysoko wydając okrzyki radości, przerażenia lub szyderstwa, a koń wspina się i rzuca, z obawy, aby nie nastąpił na żmiję, podnoszącą się na drodze.

„Przybyliśmy około dziewiątej; pan Forster z żoną i z dziećmi wyjechali w przeddzień do miasta, z powodu strasznego przerażenia jakiem przejmowało wszystkich nieustanne spustoszenie szerzone przez tygrysicę.

„Przyjęto nas jak oswobodzicieli. Wyjeżdżając, pan Forster rozkazał, aby cały dom oddano do naszego rozporządzenia. Czekała nas wyśmienita wieczerza do której dodano najlepsze wina francuzkie. Kazaliśmy przywołać murzynów, ale niewiele można było dowiedzieć się od nich, gdyż od czasu jak tygrysica pożarła jednego z nich, nie dawali się nakłonić do opuszczania chat swoich. Tyle tylko powiedzieli, że poszedłszy nie dalej jak 50 kroków, usłyszymy jej ryk.

„Wyszliśmy uzbrojeni; a była to właściwa godzina w której dzikie zwierzęta czatują zwykle około plantacyi. I tygrysica udała się na polowanie bo słychać było jej ryk, ale w stronie przeciwnej od tej gdzie ukrywały się jej młode. Widząc że w nocy trudno było obiecywać sobie pomyślnego polowania, powróciliśmy rozkazując, aby nas nazajutrz obudzono o trzeciej rano.

„Szczęściem zabraliśmy z sobą murzynów, gdyż miejscowi żadnej nam nie dawali pomocy. Zaledwie do tego dali się nakłonić, iż wszedłszy na dach domu wraz z Kapitanem-Tygrysem, wskazali mu dość dokładnie miejsce w którem znajdowała się tygrysica.

„Kapitan zszedł z dachu. Żungle okoliczne nie były zbyt rozległe, i wyjąwszy od strony góry, otoczone były plantacyami. Było nas ośmiu myśliwych i mieliśmy z sobą dwunastu murzynów, sześciu psów angielskich i sześciu chartów afrykańskich. Zarośla żungli tak były gęste, iż niepodobna było wjechać w nie konno, musieliśmy więc przedzierać się przez nie piechotą; każdy miał z sobą psa i murzyna. Przedemną szedł murzyn, przed murzynem pies; ale niebawem pies puścił się naprzód i zniknął.

„Wtem nagle wszystkie psy zagrały w jednem miejscu, zaledwie o dwadzieścia kroków odległem ode mnie — zrozumiałem iż mnie przypadnie zaszczyt zgładzenia tygrysicy. Wprawny w podobne polowania, towarzyszący mi murzyn, rzekł:

— Psy zaskoczyły tygrysicę gdy leżała na młodych, tak że nie miała czasu zerwać się i rzucić na nich.

„Psy ujadały straszliwie. Powiedziałem sobie, że bądź co bądź muszę dobiedz najpierwszy, odsunąłem więc murzyna i wyprzedziłem go — chętnie ustąpił mi pierwszeństwa. Zatrzymałem się o trzy kroki; stałem przed tygrysicą. Postrzegłszy mnie, szarpnęła się, chcąc rzucić się na mnie. O kilkanaście kroków za mną usłyszałem głos kapitana:

— Baczność! idziesz wprost ku tygrysicy!

„Nie wiedział, że doszedłem do niej. Szczęściem dwa charty nasze trzymały ją za uszy, przyczepiając się do jej ciała, tak jednak, że ich dosięgnąć nie mogła. Cztery inne charty uchwyciły się jej za skórę na karku i na bokach, a tygrysica otrząsając się, dwoma ogromnemi łapami zasłaniała młode tygrysiątka, które przewidując niebezpieczeństwo, kryły się pod nią.

„Stałem naprzeciw niej. Wychylała ku mnie łeb który psy ciągnęły wstecz szarpiąc za skórę, i pokazywała mi straszne swe zęby. Zrozumiała dobrze, iż największe niebezpieczeństwo nie zagraża jej od szarpiących ją psów angielskich, ani chartów afrykańskich, ale od człowieka, i zapominając o nich strasznie patrzyła na mnie. Ślepie jej błyszczały jak dwa topazy; piana toczyła się z paszczy, rozwścieczona dzwoniła szczękami.

„Wlepiłem w nią oczy. Wiedziałem o tem, iż jeźli człowiek wlepi śmiało wzrok we lwa, tygrysa, panterę, czy jaguara, wzrokiem takim panuje nad najdzikszem nawet zwierzęciem; lecz jeźli w oczach jego przebije się najlżejsze wahanie, jeźli źrenica jego zadrga lub odwróci się choćby na sekundę — zgubiony! Zwierz rzuci się na niego jednym skokiem, chwyci zębami i zmiażdży.

„Pochwyciłem za karabin chcąc jej łeb roztrzaskać; byłem tak pewny celności swego strzału, iż mogłem dowolnie mierzyć w łeb czy w serce, ale zdawało mi się, iż nie dowodziłoby to odwagi. Kapitan-Tygrys opowiadał wczoraj, iż pewien Francuz w Kalkucie założył się, iż tygrysicę leżącą na młodych zabije prostym bagnetem — przypomniała mi się ta historya i zapragnąłem tego dokazać.

„Odrzuciwszy więc na ramię karabin, wyciągnąłem zatknięty za pasem kirgizki kindżał, śpiczasty jak igła i ostry jak brzytwa, i śmiało postąpiłem ku tygrysicy, nie spuszczając z niej oczu. Przyklęknąłem i pewnym ruchem wbiłem jej kindżał aż po rękojeść tuż nad łopatką. Tygrysica ryknęła strasznie z bólu, i szarpnęła się tak silnie, iż wyrwała mi z ręki kindżał.

„Odskoczyłem na bok.

„Tygrysica, której psy nie puszczały, zerwała się i padła o parę kroków od miejsca w którem ugodziłem ją kindżałem; wtedy pochwyciłem za karabin; ale charty trzymały się dzielnie, kindżał tkwił w jej ciele.

„Przewróciła się parę razy; przydusiła jednego charta, drugiego rozdarła łapą, ale cztery inne rzuciły się na nią; niebawem sześć psów angielskich przybiegło im na pomoc, i gdy nareszcie inni myśliwi nadbiegli pod przewodnictwem Kapitana-Tygrysa, z tygrysicy i psów utworzyła się rusząca się góra, różnobarwna i wyjąca.

„Uczułem że coś plączę mi się około nóg — były to dwa młode tygrysy. Każdego jedną ręką uchwyciłem za skórę na szyi i podniosłem po nad swoją głową, aby ich psy nie rozszarpały. Jednocześnie Kapitan-Tygrys machał na wszystkie strony rękami i biczem, aby rozpędzić poczwarną sforę wydającą się jakiemś dziwnem zwierzęciem o tysiącu ogonach. Psy odskoczyły nareszcie, odsłaniając dogorywającą tygrysicę.

„Kindżał wtedy w trzech częściach wysunął się z jej piersi.

— Czyj to nóż? zapytał kapitan wyjmując go zupełnie.

— Mój, kapitanie, odrzekłem, odsuwając nogą charty podskakujące do tygrysiąt które trzymałem w ręku

— No! kochany ziomku, — jak na początek, wcale pięknieś się spisał...

— A cóż się stało z tygrysiętami? zapytał pułkownik; jaki los spotkał biedne sieroty?

— Przejeżdżając przez Kair podarowałem je Said-Paszy, który w zamian ofiarował mi tę damascenkę.

I Benedykt wskazał mu krzywą szablę którą miał przy boku.

W tejże chwili wszedł służący dworski oznajmiając:

— Wasza królewska wysokość, śniadanie podane.

I wszyscy przeszli do sali jadalnej.

XIII.

Śniadanie.

Śniadanie było prawdziwie królewskie, smaczne i wykwintne, ale bez marnotrawstwa. Podczas śniadania Benedykt, na życzenie księcia, opowiadał swoje polowania na słonie i przygody z jadowitemi wężami, których młody następca tronu słuchał z wielkiem zajęciem, żałując w tej chwili, że nie jest prostym śmiertelnikiem, boby niezwłocznie pojechał do Indyi, Afryki lub Ameryki, aby tam doznawać podobnych przygód i podobnych wrażeń.

Jeszcze i książę Ernest i goście jego zostawali pod wrażeniem opowiadania Benedykta, gdy przez szklane drzwi od galeryi ujrzeli nadchodzącego króla. Wspierał się lekko na ramieniu adiutanta swego, pana von Wedell, i szedł tak pewnym krokiem jak gdyby miał najlepszy wzrok. Nie kazał anonsować swego przybycia; zanim wszedł do sali wszyscy biesiadnicy powstali.

— Proszę, siadajcie panowie, nie chciałbym wam przeszkadzać; przychodzę tylko odwiedzić księcia i zapytać czy zadowolniony ze śniadania i czy mu czego nie brakuje.

— Chyba tylko obecności w. k. mości. Co do pana Benedykta jest tak przyjemnym gościem i tak zajmująco umie opowiadać, jak mi się jeszcze słyszéć nie zdarzyło.

— To tylko zbytek łaski w. ks. mości, że raczył ocenić nad zasługi proste opowiadanie przygód myśliwskich i przedstawiające je szkice.

— Panie Turpin, rzekł król, zwracając się do Benedykta jak miał zwyczaj gdy mówił do kogo, wspomniałeś pan kiedyś o nauce która dawniej zajmowała mnie trochę — to jest o chiromancyi. O ile rozum dozwala na to, czuję jakiś dziwny pociąg ku tajemniczym sferom umysłu ludzkiego przyrody i wszechświata.

— Wiem o tem naj. panie, i dla tego ośmieliłem się wspomnieć wczoraj parę słów o chiromancyi.

— Wiesz pan!... a zkądże? zapytał król z zadziwieniem.

N. panie, nie mógłbym być dobrym chiromantą, gdybym oprócz znajomości linii rąk, nie posiadał nauki Lawatera i Galla. Od pierwszego wejrzenia wyczytałem z kształtu rąk, rysów i linii twarzy, że w. k. mość posiadasz tę skłonność i zdolności, wyraźnie bardzo oznaczone przez frenologią nader rozwiniętych organach poezyi, przenikliwości i daru spostrzegawczego; po nad oczami uderzył mnie organ muzyki, umiłowanie harmonii a więc nauk przyrodzonych, i stąd wyczytać mogłem, że wysokie poparcie, jakiego w. k. mość raczył użyczyć w Goslar biednemu Lampe, szewcowi samouczkowi lekarzowi, wynalazcy leczenia ziołami, nie była prostym wynikiem znanej jego dobrotliwości, ale zarazem i przekonania, iż niektórzy ludzie mogą być obdarzeni jasnowidzeniem, i że Bóg niezawsze tylko najwyżej stojącym objawia prawdę.

— Jakto! zawołał król, uśmiechając się z zadowolnieniem, znasz pan mego biednego Lampe?

— Tak, najjaśniejszy panie, widziałem go i rozmawiałem z nim w kawiarni *Wód mineralnych*, trzy ćwierci mili odległej od Goslaru, gdzie przebywa codziennie i króluje w pośród swoich wielbicieli i zwolenników, po większej części wyleczonych przez niego.

— Wszak prawda, iż z rozmowy z nim mogłeś się pan przekonać, że to niezwykły człowiek.

— Tak, najjaśniejszy panie, i poznałem całą jego historyą: jego tak biedne życie, podrzędne rzemiosło, przerwany zawód żołnierski skutkiem cięcia w głowę pałaszem francuzkiego kirasyera na równinach Szampanii. Wiem że chcąc nauczyć się botaniki, zgodził się na posługacza do szkoły. Podziwiałem jego wytrwałość, i badając całą jego osobistość a szczególniej ręce, dostrzegłem wielkie zdolności lekarskie, które zbudziły w prostym wieśniaku tak nieprzeparte powołanie, iż ulegając mu cierpiał największy niedostatek i biedę, przed któremi mało kto by się nie cofnął.

„Dzięki tej niezachwianej wytrwałości, do której przywiązywała go frenologia i chiromancya, doszedł do doskonałej znajomości rzeczywistej działalności i przymiotów tak każdego ziela pojedyńczo jak w połączeniu z innemi; wtedyto zaczął leczyć, a leczyć skutecznie, najpierw biednych sąsiadów, potem przyjaciół, mieszczan a nareszcie i panów, aż przestraszeni współzawodnictwem jego doktorzy, zabronili mu praktyki.

„Otóż skutkiem tego mieszkańcy Goslaru i okolic na 20 mil dokoła tak głośno zaczęli sarkać i narzekać, iż musiało to dojść do wiadomości w. k. mości, i z polecenia jego zarządzone zostało odpowiednie śledztwo, którego rezultat był tak stanowczo dobrym dla biednego szewca, iż raczyłeś najjaśniejszy panie nadać mu tytuł *Dyrektora lecznicy ziołami*, a gdy wielu nieuleczalnych prawie, odzyskało w niej zdrowie, Lampe został ozdobiony orderem Gwelfów, a nadto spotkał go niewysłowiony zaszczyt, iż w. k. mość raczył zwiedzić jego zakład wraz ze swoją rodziną. Prawdziwa zasługa nie potrzebuje szukać dróg do w. k. mości, umiesz ją wynaleźć i wynagrodzić.

— Czyżby sława Lampe'go doszła aż do Francyi? zapytał król.

— Nie, naj. panie.

— Więc któż pana tak dobrze objaśnił co do niego?

— Najpierw on sam, jak to miałem zaszczyt powiedzieć, ale prócz tego jeden z najlepszych przyjaciół moich, mój mistrz i nauczyciel tej niepojętej nauki, który uzupełnił chiromancyą nauką liczb i planet; równie jak ja malarz, wielbiciel przyrody i śmiały podróżnik...

— A! przypominam sobie, rzekł król przerywając, iż słyszałem coś o nim. Zdaje się był w Lipsku w roku 1863 i tam rzucił naukowe wyzwanie doktorom. Towarzyszyła mu żona, dopomagająca mu w tej tajemniczej walce teraźniejszości z przyszłością. Chwilowo miałem myśl zawezwać go do Hanoweru, ale ważniejsze sprawy kazały mu zapomnieć o tem. Nie przypominam sobie jego nazwiska.

— Desbarolles, naj. panie.

— A tak! Żałuję bardzo żem go nie widział, ale ponieważ pan tu jesteś, jego uczeń i przyjaciel, i już potrafiłeś odgadnąć, że lubię te tajemnicze nauki nowy świat nam odsłaniające i rozszerzające do nieskończoności związki naszej duszy z temi wspaniałemi gwiazdami, które teraz tylko w pamięci widzieć i uwielbiać mogę — więc da się to nagrodzić. Nie czuję się upokorzonym, iż jestem tylko człowiekiem, myśląc że oddech mój łączy się z temi potężnemi oddechami przyrody, których widomym objawem jest przypływ i odpływ morza. Dla was wszystkich gwiazdy błyszczą wspaniale wśród nocy, — mnie wydaje się, iż słyszę melodyjne ich akordy i obroty na podstawach tak doskonale wyznaczonych przez boskiego Pitagoresa, które najwyraźniej dochodzą do mnie, zatopionego w rozmyślaniu. Z dumą myślę sobie, iż ja stojący na wierzchołkowym punkcie społeczeństwa ludzkiego, mam po nad sobą istoty pośrednie anielskiej natury, utrzymujące zapewnie łańcuch elektryczny, bezmierny i bezbrzeżny, łączący nas nietylko z systemem planetarnym, którego środkowym punktem jest słońce, ale ze wszystkiemi światami i słońcami.

„Nie mówię o takich rzeczach w liczniejszem towarzystwie, mówił dalej Jerzy V, uśmiechając się, bo może nazwanoby mnie królem-marzycielem, a najgorszy to przydomek dla króla — ale mówić mogę z panem, podobnie jak ja marzycielem. Tak panu, ale panu tylko powiedzieć mogę: tak, wierzę w atrakcye niebieskie podczas pobytu naszego na tym ziemskim padole; wierzę iż każdy z nas przynosi z sobą — w tej szacownej szkatułce zwanej czaszką — przeznaczenie swoje, z którem może walczyć i opóźniać je, ale które mimo to prowadzi go do szczęścia, powodzenia lub nieszczęsnej doli.

„A mówię to z przekonania opartego na pewnych dowodach. Gdy jeszcze byłem młodzieńcem, raz podczas samotnej w lesie przechadzki spotkała mnie cyganka i wziąwszy mnie za rękę wróżyła z niej, a jej przepowiednie ziściły się następnie. Chciałbym wierzyć temu co mi pan powiesz, ale znów nie naoślep; trzeba mi koniecznie jakichś do tego podstaw. Czy nie mógłbyś z linii rysujących się na mojej ręce wyczytać z przeszłości to naprzykład co owa cyganka przepowiedziała mi o przyszłości. Powiedz pan szczerze, czy jest to możebnem i czy możesz to uczynić?

— Tak, najjaśniejszy panie, dzięki dochodzeniu i wyrachowaniom, nauka może potwierdzić co powiedziała intuicya, a może tradycya.

— A więc proszę mów pan, rzekł król podając rękę.

(D. c. n.)

WYSTAWA W PAŁACU BRÜHLOWSKIM.

(Dalszy ciąg).

Ale otóż jesteśmy na pierwszem piętrze; tu rozpoczniemy przegląd sal porządkiem alfabetycznym.

Sala A. W pobliżu wejścia stoi obszerny stół a na nim piramidy butelek piwa bawarskiego w dwóch gatunkach, próbki chmielu, jęczmienia, słodu w różnych peryodach rośnięcia, kwiatu czyli kiełków słodowych. Zakład ten p. Machleid'a obecnie wyrabia przeszło 200,000 wiader w jednej kampanii.

Nieco dalej p. Sperling przedstawił wagę decymalną ze swej fabryki, skombinowaną z przemianem i posiadającą zupełną czułość nawet przy obciążeniu półfuntowem. Cena 180 rs.

W tej sali znajdują się cztery kassy ogniotrwałe, jedna żelazna, trzy opancerzone stalą, firmy Roberta Bothe, słynącej wyrobami swemi od roku 1840,

zatrudnia kilkudziesięciu robotników, wyłącznie krajowców, i przerabia około 30,000 pudów żelaza i stali. Obrót roczny przechodzi 100,000 rs. Z czterech przedstawionych szafek, wogóle bardzo ładnie odrobionych, z zamkami systemu Shoup'a i Brahma, wyróżnia się kasa żelazna ze skrytką bardzo misternie urządzoną, której istnienia niepodobna się domyśléć, gdyż odkrywa się dopiero za przyciśnięciem niewidocznie umieszczonej sprężyny i po wyjęciu drzwiczek wewnętrznych. Inne kasy są zabezpieczone stalowym pancerzem, zabezpieczającym od rozbicia lub prześwidrowania ścian. Fabryka p. Bothe już na kilku wystawach nagrodzona została srebrnemi medalami. Ceny wystawionych kass 250, 500 i 600 rs.

Środek sali zajmują trzy wystawy wyrobów szewckich. Firma „W. Talikowski i syn" przedstawiła rozmaite obuwie męzkie i damskie, z najrozmaitszych materyałów, odznaczające się starannem wykończeniem. Razi nas jednak w obuwiu damskiem przesada i pstrocizna przybrania. Znać że panowie fabrykanci nie dla warszawskich dam przygotowali swoje wyroby; objaśniono nas, że wyłącznie przesyłają je do dalekich prowincyi Cesarstwa, gdzie nader są poszukiwane, gdyż jaskrawość ta właśnie tam popłaca.

Drugim wystawcą jest p. Blechschmidt (syn). Zakład jego także zalicza się do pierwszorzędnych, ale, niestety, i tu razi pstrocizna. Najniezawodniej żadna z pań umiejących się ubierać, nie włoży bucików lakierowanych, haftowanych w różnokolorowy rzucik. Ale i pan Blechschmidt wysela swe wyroby nietylko do Rosyi ale podobno i do Ameryki, zapewnie więc podobne okazy są przeznaczone na wywóz. Dobór materyału i robota bardzo staranne.

W wystawie „Stowarzyszenia Szewców Warszawskich" widzimy skromniejsze ale gustowniejsze wyroby, buciki damskie i starannie wykończone buty męzkie. Stowarzyszenie rozwija się pomyślnie, liczy coraz więcej członków; obrót roczny 40,000 rs.

Sala B. Na środku sali dwie szafy oszklone, w kształcie kiosków, obejmujące najrozmaisze okazy wódek i likierów ze znanych dystylarni pp. Jankowskiego i Fuchsa. Ozdobą tej sali jest śliczna toaleta damska z zakładu stolarskiego J. Tarnowski i Spółka, zupełnie niezwykłego kształtu. Środek zajmuje wielkie lustro stojące, po obu stronach od dołu dwa rzędy w górę wznoszących się szufladek. Toaleta ta wyrobiona jest z drzewa orzechowego o pięknie dobranym słoju, tło matowe a gzemsy i ozdoby polityrowane, co bardzo ładnie odbija. Takież łóżko i szafa uzupełniają umeblowanie wykwintnej damskiej sypialni. Fabryka pana Tarnowskiego cieszy się zasłużonem uznaniem; zatrudnia 50 robotników, roczny obrót 80,000 rs.

Sala C. Tu rozłożyła się szeroko fabryka mebli giętych pod firmą „Wojciechów", przedstawiając pięknie wykończone fotele, kanapy, krzesła, stoły, stoliki, łóżka, żardinierki i parawanik. Ceny rozmaite, odnośnie do wyrobów. Widzimy cały jeden garnitur za 350 rs., fotele sztuka od 12 do 18 rs., tuzin krzeseł od 20 do 43 i 60 rs., łóżko wyplatane 60 rs. Na ścianie ustawione są okazy materyału surowego, poczynając od nieobrobionego jeszcze pnia drzewa bukowego ciętego w prostokąty; oprócz tego podano fotografie dużych rozmiarów, przedstawiające rozmaite oddziały fabryki, w chwili wykonywania właściwych czynności. Fabryka istnieje od 1872. Posiada trzy zakłady: w Wojciechowie w Lubelskiem, w Warszawie przy ulicy Gęsiej i na Pradze. Wyrabia meble gięte z drzewa bukowego z własnych lasów. Głównym jej kierownikiem i współwłaścicielem jest pan Artur Lessel. Jest to pierwsza i jedyna fabryka w kraju naszym wyrabiająca meble gięte z miejscowego drzewa. Gięcia drzewa dokonywa fabryka w Wojciechowie, przez użycie 57 maszyn specyalnych o sile 40 koni. Wygięty już materyał nadchodzi do zakładów na Pradze pod Warszawą, gdzie ostatecznie meble zostają wykończone. Osiadłych w osadzie fabrycznej robotników jest wogóle 293, a mianowicie: krajowców mężczyzn 121, kobiet 68; z Galicyi: mężczyzn 64, kobiet 14; poddanych niemieckich: mężczyzn 23, kobiet 3. Warszawska filja zatrudnia obecnie 120 mężczyzn i 280 kobiet, wyłącznie krajowców; nadto w głównem więzieniu karnem w Warszawie zajmuje się wyrobem mebli giętych dla filii 80 mężczyzn i 120 kobiet. Roczny obrót 280,000 rs. W roku 1872 wyroby tej fabryki, na wystawie w Moskwie uzyskały medal srebrny; w 1873 roku w Wiedniu, dyplom uznania, oraz medal srebrny od Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie.

Fortepian z fabryki Krall i Seidler, piękny i o nader dźwięcznym głosie, godnie przedstawia tę znaną i renomowaną firmę, która uzyskała już dziesięć medali na wystawach europejskich i w Fidalelfii.

W tejże sali widzimy ładne obicia ze złoconym szlakiem, z fabryki obecnie p. Franaszka, dawniej Vetter'a; próby obić w najrozmaitszych kolorach i deseniach, ceratowy dywan na ścianie, oraz rolki rozmaitych cerat. Fabryka ta istnieje od 1829 r., wyrabia obicia od najtańszych do najwykwintniejszych, przerebianych złotem i srebrem. Papieru używa krajowego, farb i płócien angielskich. Zatrudnia 125 robotników, samych krajowców, w ich liczbie 8 kobiet. Za wyroby swoje fabryka uzyskała trzy medale złote, parę srebrnych i kilka bronzowych. Szkoda tylko, że na okazach nie położono ceny.

Zakład fotograficzny p. Brandel, słynący szczególniej doskonałem wykonywaniem fotografii dzieci i grup, zaszczycony został tytułem fotografa Warszawskiego Uniwersytetu, za pomoc bezinteresowną w wykonywaniu fotografii szczególniejszych okazów chorób. Grupy przedstawione w Pałacu Brühlowskim nie pozostawiają nic do życzenia.

(D. c. n.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

(Dalszy ciąg).

Pomijając inne, wspomnę jeszcze o przekładzie 20 listu ks. I., przez poetę do własnej książki, przy wyprawianiu jej w świat, zwróconego. W przekładzie tym, w ogóle udatnym, znajdujemy także niedokładności. Tak np. wyrażenie Odisti claves et grata sigilla pudico (nienawidzisz kluczów i miłych wstydliwym pieczęci, to jest nie chcesz już pozostawać pod kluczem i w zapieczętowanej skrzynce) p. Felicyan tak oddaje: „No, no, nie jesteś z tych, „Co gdzieś w rupiecie Rzucić się dadzą." Dodatek tłomacza, który znajdujemy poniżej „jak z dziewczyną bywa i t. d." wprawdzie nie znajdujący się w oryginale, może być wybaczonym, gdyż poeta stale miał na myśli nieco odmienne, ale w każdej mowie nowożytnej wstrętne porównanie (jak to widać z wyrażeń prostes, pudico, plenus languet amator i t. d.). Poeta przepowiada następnie swej książce, że odeślą ją do Utyki (w Afryce) lub Herdy (w Hiszpanii); zamiast tego, tłomacz każe jej wynosić się „tam gdzie pieprz nie rośnie", (wyrażenie zbyt spospolitowane, ażeby mogło jeszcze uchodzić za dowcipne). Dalej „sol tepidus" nie znaczy „chłodnej zaciszy (sic), ale oznacza tylko porę dnia chłodniejszą (ciepłą, już nie gorącą). Malownicze i wyborne wyrażenie Horacyusza: majores pennas nido extendisse, które polskim hexametrem dałoby się tak mniej więcej przełożyć:

W dłuższe pierze porosłem niż zwykle w gnieździe
[mem bywa,

U tłomacza oddane blado i niewiernie:

„Nic nie wziąwszy z domu,
Sam sobie winien wszystko nie zaś komu."

O wiele więcej miałbym do powiedzenia, gdybym chciał wszystko zestawiać i porównywać szczegółowo. Poprzestając tedy na przytoczonych próbkach, przechodzę do przekładów z Wergiliusza (tak dziś przyjęto pisać zam. Wirgiliusza). Mamy tu ustęp z Georgik (księgi I) i przekład 4-ej eklogi. Co do pierwszego, powiem tylko, że w ogólności przekład udatniejszy i wierniejszy niż pokrewny treścią i wzmiakowany powyżej przekład z Hezyoda. Są i tu jednak braki pomniejsze jak np. wyrażenie et sulco attritus splendenscere vomer=zaczyna błyszczéć lemiesz, pocierany o bróźdę", u tłomacza tak jest rozwodnione.

W którego lemiesz tarciem *coraz gładszy*
Coraz goręcsze słońce *bystro patrzy.*

Albo np. w 59: Eliadum palmas Epiros equarum=Epir (wydaje) *klacze* wieńczone na igrzyskach olympijskich (w Elidzie) u tłomacza:

A w Epirze
Źrzebce się rodzą, *jak najmocniej chyże.*

Czwarta ekloga Wergiliusza słynną była w wiekach średnich. W niej bowiem poeta przepowiada blizkie narodzenie dziecięcia, które zmieni porządek świata. Począwszy od cesarza Konstantyna W., który sam na soborze nicejskim czytał i objaśniał tę eklogę, aż do czasów najnowszych nikt nie wątpił, że przepowiednie wieszcza ściągały się do Jezusa Chrystusa; na tem nawet przeważnie opiera się sława Wergiliusza w wiekach średnich, jako proroka i poprzednika chrześcianizmu, a po części i rola jego w poemacie Dantego. Dopiero nowsi uczeni wypowiedzieli zdanie, że ponieważ ekloga zwrócona jest widocznie do Azyniusza Polliona, prawdopodobnie więc poeta zapowiadał narodzenie syna tegoż Polliona. Nakoniec przed 4 laty znany Mommsen podał w wątpliwość i to mniemanie, słusznie zwróciwszy uwagę na tę okoliczność, że w całym utworze, gdzie mowa o wzniokomym synu Polliona, o ojcu powiedziano tylko tyle, że dziecię przyjdzie na świat *za jego konsulatu;* wyrażenie to nawet jest nieco dziwnem, gdy mowa o ojcu i synu, których łączą przecie inne ściślejsze węzły. Sądzi więc Mommsen, że Wergiliusz zapowiada spodziewane i upragnione narodzenie męzkiego potomka z zawartego świeżo małżeństwa pomiędzy Antoniuszem i siostrą Oktawiana, co byłoby najpewniejszym środkiem pogodzenia waśniących się tryumwirów i zabezpieczenia światu pokoju. Wszelako i temu twierdzeniu można zarzucić to głównie, iż w takim razie poeta nie omieszkałby chwalić i wysławiać tryumwirów, a szczególniej Cezara Oktawiana, a jednak, przeciwnie, jest to jeden z niewielu utworów muzy

Wergiliuszowej, w których nie ma nietylko pochlebstw, ale nawet najmniejszej wzmianki o Cezarze.

Piękny ten utwór, w którym wieszcz Rzymu wyzwolił się prawie całkiem z pod jarzma naśladownictwa Greków, w przekładzie p. Felicyana wygląda bardzo udatnie; tłomacz przejął się nawet wzniosłem natchnieniem mantuańskiego poety i używa równie majestatycznego stylu. Są jednak usterki podrzędniejsze i ważniejsze. Do podrzędniejszych rachujemy skłonność tłomacza do wielomówności. Tak np. wiersz oryginału „Si canimus silvas, silvae sunt consule dignae" (jeźli lasy opiewam, to lasy są konsula godne), który jest pochwałą pasterskich utworów poety, tłomacz oddaje aż trzema następującemi wierszami:

Owszem w leśnej ciszy,
Gdzie głusza mieszka (?) jak najuroczystsza,
Mój śpiew niech będzie godnym swego mistrza (?)

Ważniejsza i główna wada jest ta, że tłomacz nie dość wniknął w podział życia owego przepowiadanego dziecięcia na trzy epoki, jak je opisuje Wergiliusz. Tak w oryginale od w. 17 do 25. mowa o *dziecięciu* (At tibi prima *puer* etc.). W w. 26. poeta przechodzi do wieku młodzieńczego, a od 37 mówi już o mężu dojrzałym. Tłomacz zupełnie pominął ten bieg myśli oryginału, a więc splątał je w trudny do rozwikłania kłębek. Tak np. wiersz 278 rozpoczynający obraz wieku młodzieńczego (At simul heroum laudes et facta parentis Jam legere et quae sit poteris cognoscere virtus), a znaczące dosłownie: „Skoro zaś tylko będziesz w stanie czytać o chwale bohaterów i czynach swego ojca i zdolnym będziesz pojąć, co to jest cnota" u tłomacza przełożone zostały najniewłaściwiej:

. . . . Gdy zaś znów ujrzycie (?)
Wskrzeszone w czynach bohaterów życie.

Podobnież obraz wieku dojrzałego swojego bohatera wieszcz rozpoczyna słowy: Hinc ubi jam firmata virum te fecerit actas, co znaczy: „następnie gdy już wiek dojrzały uczyni cię mężem." U tłomacza natomiast z podziwieniem czytamy:

Lecz sile w pomoc ducha gdy przyzowiem i t. d

(D. n.)

NOWE WYDAWNICTWA.

Najlepsza metoda języka niemieckiego do nauczenia się czytać, pisać i rozmawiać po niemiecku w trzech miesiącach bez pomocy lub z pomocą nauczyciela po części na sposób Olendorf'a a po części na sposób Toussaint-Langenscheidt'a opracował dla użytku Polaków Plato v. Reussner, nauczyciel języka niemieckiego. Zeszyt III kurs wyższy.

Dr. Jan Scherr. Historya literatury powszechnej według szóstego wydania oryginału niemieckiego przełożona w osobnych przypiskach uzupełniona i w dziale literatur słowiańskich znacznie pomnożona przez Bronisława Zawadzkiego. Tom I zeszyt pierwszy. Zawiera w sobie: I Wschód: 1) Chiny, 2) Indye, 3) Japonia, 4) Egipt, 5) Babilonia i Assyra, 6) Palestyna, 7) Arabia, 8) Persya 9) Turcya. II. Świat klasyczny: Grecya i Rzym. Nakładem Gebethnera i Wolfa.

Dzieje Polski dla dzieci, przez Sokoła, zawierające całą historyą aż do abdykacyi Stanisława Augusta. Jest to kurs przygotowawczy z uwzględnieniem kształcącej się dopiero pamięci dzieci, której przeciążać nie można. Szkoda że autor początkowe dzieje nie obrobił według nowych źródeł a trzymał się dawniejszych.

Julian Bartoszewicz. Studya historyczne i literackie. Tom III zawiera: Warszawa i Kraków.

Wawrzyniec Słupski Bandura, kandydat do korony polskiej.

Szwedzi w Warszawie 1655 roku.

Księga protokułów Franciszkańskich prowincyi Ruskiej od 1625—1650 r.

Jan Stanisław Jabłonowski, wojewoda ruski i jego dziełko: „Skrupuł bez skrupułu".

Co znaczyła i gdzie była Ukraina.

Mazowsze — Mazury, czem się od innych krajów i mieszkańców polskich odznaczały.

Prawo o elekcyi (Ustęp z dziejów cywilizacyi narodu).

Bitwa pod Beresteczkiem 28—30 czerwca 1561 roku.

Anna z Sapiechów Jabłonowska.

Czy Przecław Lanckoroński był Hetmanem kozaczyzny?

Kniaź i książę.

Skrzętna gospodyni. Przepisy przyrządzania różnych potraw tanio i smacznie na podstawie długoletniego doświadczenia, ułożone przez Paulinę Szumlańską.

Marya Konopnicka Poezye. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Program konkursu.

Komitet zajmujący się wydaniem dzieł Jana Kochanowskiego, podjętym w celu uczczenia trzechsetnej rocznicy zgonu wieszcza narodowego, zamierzył po uzyskaniu właściwego pozwolenia urządzić w roku bieżącym w Warszawie widowisko sceniczne, z którego dochód będzie obrócony na powiększenie funduszu wydawnictwa.

Widowisko to ma się składać z *Odprawy posłów greckich* Kochanowskiego i komedyi *Z chłopa król* Piotra Baryki. Do programu wchodzi także deklamacya *poematu na cześć J. Kochanowskiego.* — W tym celu komitet odwołując się do wszystkich naszych poetów ogłasza konkurs na poemat odpowiedniej treści. Nie ma to być wierszowana biografia poety czarnoleskiego, ale uwydatnienie wszystkich głównych cech jego charakteru jako człowieka i twórcy, przedstawienie ważniejszych jego życia kolei w domu, w rodzinie, w kraju. Słowem poemat odsłonić winien dzisiejszemu pokoleniu duszę ojca poezyi polskiej.

Poemat ten jako przeznaczony na deklamacyą nie może być rozciągły, ale do rozmiarów deklamacyi zastosowany, wystarczający mniej więcej na kwadrans do 20 minut czasu.

Utwór uznany za najlepszy pozostanie własnością komitetu wydawniczego, który zajmie się jego ogłoszeniem. Nagrodą będzie summa rubli sto wypłacalna niezwłocznie po przedstawieniu, oraz asygnacya na ozdobny egzemplarz wydawnictwa, opatrzony imienną dedykacyą autorowi poematu. Utwór najlepszy po premiowanym otrzyma podobnież asygnacyę na egzemplarz wydania ozdobnego z dedykacyą imienną i pozostawieniem autorowi prawa własności, inne zaś utwory zwrócone będą autorom po ogłoszeniu rezultatu.

Na sędziów konkursu zostali zaproszeni: pp: Jenike Ludwik, Kaszewski Kazimierz, Królikowski Jan, Pietkiewicz Antoni (Adam Pług), Plenkiewicz Roman.

Utwory składać należy pod adresem profesora Józefa Przyborowskiego, Warszawa, przy ulicy Żabiej Nr. 4, w kopertach zapieczętowanych oznaczonych godłem, do czego dołączyć wypada inną kopertę z temże samem godłem i nazwiskiem autora. Termin ostateczny do złożenia utworów naznacza się na dzień 15 września roku bieżącego.

Warszawa, dnia 16 maja 1881 roku.

Przewodniczący w komitecie *Konstanty Przezdziecki.*

Członek komitetu *Roman Plenkiewicz.*

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

✝ W N-rze 282 „Biesiady Literackiej" w artykule wstępnym pióra szanownego jej redaktora i wydawcy, tenże w nader rzewnych wyrazach wyrzuca całej Polsce szczególniej Litwie i mieszkańcom Wilna, grzeszne zaniedbanie mogiły ś. p. Syrokomli. Powtarzamy dosłownie:

„Ktoś co przyjechał do Wilna, aby pokłonić się starym bogom, odbył pielgrzymkę na cmentarz Rosa do grobu ś. p. Syrokomli. Minąwszy wrota i długi szereg świeżych mogił, zatrzymał się i powiódł okiem po wileńskim horyzoncie. Na horyzoncie nie dojrzał ani kolumny, ani świątyni — przypomniał sobie wówczas że Syrokomla był tylko lirnikiem, że mogile jego przystoi krzyżyk wioskowy — poszedł więc ku mchom grobowym.

Po długiem szukaniu, bo na zapytania przechodnie odpowiedzieć mu dokładnie nie umieli — znalazł nareszcie mogiłę. Dopiero lat kilkanaście od śmierci Syrokomli, a już o grobie jego ludzie zapomnieli; — nawet dziad cmentarny o nią już nie dba, coraz mniej pielgrzymów — pamiętać się nie opłaci... Mogiła Syrokomli zaniedbana, sieroca; gdyby nie napis, niktby się nie domyślił, że tu leży poeta, w którego sercu znalazły oddźwięk wszystkie bóle i rozkosze litewskiej ziemi.

Ten *ktoś* opowiada wrażenie, jakie wywarł na nim grób opuszczony, — opowiada i zapytuje: czy Litwa pieśni lirnika już nie powtarza? Czy tak już zubożała, że nie ma za co odnowić skromnego pomnika? Nie wzywa on do wzniesienia drogocennej kolumny, pragnie tylko, aby słowik wilejskiej dąbrowy miał na swym grobie kwiaty zamiast zielska — opiekę zamiast zapomnienia.

Do kogo dojdzie ta skarga rozbolałego wędrowca, niech zapyta siebie czy Syrokomli co winien?— a jeźli rachunek z sercem pokaże długi, niech je spłaci choćby najdrobniejszą ofiarą. Wszak Litwa może napełnić jeszcze niejedną skarbonę—choć u niej w świronkach nie tak jak dawniej — ale i z tego co zostało, z tych pustek jeszcze się na skromniutki nagrobek ukochanego poety uzbierać powinno. Tylko się serca poradzić.

Wzywając do pielęgnowania grobu wdzięcznej ptaszyny, nie odwodzimy od ofiar na pomnik orła polskiej poezyi; — powinno nam starczyć sił na pielęgnowanie pamięci wielkich i mniejszych. Mickiewicza kolumna niech sięga szczytów świątyni, Syrokomla zadowolni się krzyżem prosto osadzonym.

Dzięki czcigodnemu J. I. Kraszewskiemu, pomnik ś. p. z Tańskich Hofmanowej w Paryżu, nie będzie już niepokoił sumienia jej rodaków. Sprawozdanie jakie obiecuje złożyć „stróż grobów polskich na obcej ziemi" pokaże kto dał — czy ci co ciężko pracują, czy ci co garściami sypią pieniądze dla olśnienia cudzoziemców. W tem sprawozda-

niu, jak w zwierciadle odbije się przywilej i zasługa.

O! smutno byłoby największemu z największych poetów naszych, gdyby spiżową jego kolumnę otaczały zapadłe mogiły! Mickiewicz, to serce polskie, usychające bez ciepła rodzinnego ogniska; on nie umiał nosić szaty purpurowej, wówczas, kiedy na innych były strzępki niedoli; — nie róbmyż mu krzywdy — dajmy i towarzyszom jego szatę uczciwą!"

+ P. Stanisław Kiernicki, uczeń krakowskiej szkoły sztuk pięknych, pracuje nad pomnikiem Antoniego Malczewskiego, śpiewaka „Maryi". Do zupełnego urzeczywistnienia tej myśli potrzeba mu portretu poety. Na zapytanie z jakiem odniósł się do J. I. Kraszewskiego, czy nie wie gdzieby się takowy znajdował? tenże odpowiedział: „Należałoby odezwać się do posiadacza rycin i rysunków po ś. p. Hipolicie Skimborowiczu, który podobno złożony jest tymczasowo w Wilanowie u hr. Potockiej. Pan Kiernicki prosił redakcyę „Wieku" o ogłoszenie tych słów Kraszewskiego, w tej nadziei, że spadkobiercy ś. p. Skimborowicza zechcą objaśnić, a jeźli posiadają portret, ułatwić p. K. sposobność korzystania z niego a temsamem przyczynić się pośrednio do przyszłego wzniesienia autorowi „Maryi" pomnika na który u narodu zasłużył.

Redakcya „Wieku" wzywa inne pisma o powtórzenie słów powyższych i wspólne zajęcie się tą sprawą.

+ Jak wiadomo komisya administracyjna tegorocznej wystawy obrazów w Salonie Paryzkim, odrzuciła wszystkie prośby o przedłużenie terminu nadesłania rzeźb i malowideł. Do artystów których utwory wykluczono z *powodu opóźnienia*, należy Michał Munkascy, malarz węgierski, który w 1870 r. otrzymał pierwszy medal, w 1874 r. medal 2-ej klasy, a 1877 r. został mianowany kawalerem Legii honorowej, a na wystawie powszechnej w 1878 r. został zaszczycony medalem honorowym i krzyżem oficerskim. Munkascy lat kilka pracował z całem oddaniem się nad obrazem „Chrystus przed Piłatem" — komisya nie przyjęła go z powodu, że za późno został przysłany — a jak wielu utrzymuje powodowana zawiścią względem arcydzieła które zaćmiłoby prace wszystkich francuzkich malarzy. Munkascy, nie dając komisyi za wygraną, znalazł gościnne pomieszczenie dla obrazu swego w pałacu pana Sedelmeyer'a, miłośnika sztuk pięknych. Trzypiętrowy pałac p. Sedelmeyer'a przy ulicy la Rochefoucauld wznosi się wśród wielkiego zieloną murawą zasłanego dziedzińca. Przy prawym końcu pałacu dobudowano jakby kaplicę ze szklanną kopułą, przeznaczoną na pracownię malarską, do której wchodzi się przez piękny przedsionek i dwa salony. W tejto pracowni zasłanej bogatemi ciemnemi kobiercami, oświetlonej doskonale światłem zastosowanem sztucznie przez odpowiednie urządzenie rozmaitych zasłon, umieszczony jest ogromny obraz Munkascy'ego. Cały Paryż ciśnie się codzień tłumnie do salonów Sedelmayer'a; mężczyźni i kobiety z niemem zachwyceniem wpatrują się w prześliczny obraz. Zdaje się zdumionym widzom, iż przeniesieni są do pretoryum Ponckiego Piłata, gdy Chrystus został przed nim stawiony. W ciemnym przyległym salonie umeszczone jest wielkie lustro w którem obraz się odbija.

Oto jak się przedstawia obraz Munkacsy'ego, obejmujący 48 metrów kwadratowych.

Obszerna wspaniała komnata; do niej ciśnie się tłuszcza chcąc przypatrzéć się zblizka potępionemu już przez mędrców i kapłanów Izraela, „królowi żydowskiemu". Na tronie, o kilka stopni wyniesionym, siedzi Piłat odziany w białą, z czerwonym wykładem togę. Łaciński typ jego twarzy wyróżnia się od semickich twarzy tłumu. Założył ręce na krzyż, rusza głową nie wiedząc jak osądzić obwinionego a niewinnego. Po prawej stronie Piłata stoi stary żyd, zanoszący publiczną skargę i wskazujący Chrystusa. Chrystus ma ręce skrępowane powrozem, twarz chudą i bladą, złotawe włosy spadające mu na ramiona — okryty jest białą togą. Spogląda spokojnie na Piłata, wiedząc że będzie skazany. Tuż obok siedzi otyły mężczyzna podszczuwający przeciw Chrystusowi. Żołnierz rzymski powstrzymuje ciżbę zasłaniając włócznią. W tłumie fanatyk jakiś brunatnym okryty burnusem, podnosi ręce w górę, wrzeszcząc i miotając obelgi na Chrystusa — tłómaczy on oburzenie i złość całej tłuszczy. Po lewej stronie, niedaleko Chrystusa, stoi kobieta z dzieckiem na ręku oparta o kolumnę. Prześliczna to postać. Z twarzy widnieje smutek i litość; patrzy z współczuciem na Chrystusa, którego naukę nie raz zapewne słyszała. Oczu oderwać trudno od tej żydówki. Nareszcie przez podwójny portyk komnaty widać piękną okolicę Jerozolimy, oświetloną gorącem światłem wschodniego nieba.

Potężna to i wspaniała kompozycya; w ogóle postacie i charakterystyka ich wyborna; każda figura wyraża oddzielny typ, zaś wszystko razem harmonijną tworzy całość. Koloryt świetny. Sam tylko Chrystus nie odpowiada postaci Boga-człowieka; jest to zwykły obwiniony a niewinny podsądny. „Chrystus przed Piłatem" jest pod każdym względem utworem znakomitym; nie daje się jednak zaliczyć do obrazów religijnych jakby nazwa wnosić kazała — to obraz historyczny, w którym zamyka się przeszłość i teraźniejszość. Fakt sam zaczerpnięty jest z przeszłości, ale przedstawiony według wyobrażeń teraźniejszości. W każdym razie jest to arcydzieło którego twórcą Węgrzy słusznie chlubić się mogą.

Zawiadomienie.

W kwietniu b. r. wychodzić zaczęło nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie Historya Literatury Powszechnej Dra Jana Scherra, według szóstego wydania oryginału niemieckiego przełożona, w osobnych przypiskach uzupełniona i w dziale literatur słowiańskich znacznie pomnożona przez Bronisława Zawadzkiego, w dwóch tomach a sześciu zeszytach, obejmujących przeszło 60 arkuszy druku. Dzieło to stanowić będzie pożądany oddawna podręcznik dla prywatnego studyum literatury powszechnej, zrozumiały dla każdego, wyczerpujący sumiennie przedmiot, a łatwy i powabny w czytaniu.

Treść ogólna dwóch tomów jest następująca: Tom I. Wstęp. Księga pierwsza. Rozdział pierwszy. Wschód: 1) Chiny. 2) Japonia. 3) Indye. 4) Egipt. 5) Babilonia i Assyrya. 6) Hebrajczykowie. 7) Arabia. 8) Persya. 9) Turcya. Rozdział drugi. Świat klasyczny: 1) Grecya. 2) Rzym. Księga druga. Rozdział pierwszy. 1) Chrześciaństwo, poezya kościelna i nowo-łacińska. 2) Romanizm, romantyzm i rycerstwo. 3) Teatr średniowieczny. Rozdział drugi. Ludy Romańskie: 1) Francya. Rozdział trzeci. 2) Włochy. Rozdział czwarty. 3) Hiszpania. Rozdział piąty. 4) Portugalia. Rozdział szósty. 5) Język i literatura Mołdawsko-Wołoska. Tom II. Księga trzecia. Rozdział pierwszy. Ludy germańskie: 1) Anglia, Irlandya i Szkocya. 2) Ameryka. Rozdział drugi. 2) Niemcy. Rozdział trzeci. 3) Holandya. Rozdział czwarty. 4) Skandynawia, Dania, Szwecya, Finlandya i Norwegia. Księga czwarta. Rozdział pierwszy. Ludy słowiańskie: 1) Czechy. 2) Serbia. 3) Polska. 4) Rossya. Rozdział drugi. Węgry. Rozdaiał trzèci. Grecya współczesna.

Tłomacz „Historyi" Scherra, dla wzbogacenia szczegółów, składających się w całość obrazu, uzupełnił tekst oryginału niemieckiego licznemi przypiskami, mieszczącemi rezultaty najświeższych odkryć i badań, tudzież daty biograficzne i wiadomości bibliograficzne, dział zaś literatur słowiańskich znacznie rozszerzył.

„Historya literatury" Scherra doprowadzoną została do współczesnej doby tak, iż nawet zjawiska literackie bieżącego roku znajdą w takowej pomieszczenie.

Cena całego dzieła wynosi w prenumeracie rs. 5, które mogą być wzniesione w całości lub ratami, t. j. płacąc przy odbiorze pierwszych pięciu zeszytów po 1 rublu.

Cena wraz z przesyłką na prowincyi wynosi rs. 6, która to kwota w całości lub w dwóch ratach t. j. przy zamówieniu rs. 3, i po otrzymaniu 2-go zeszytu rs. 3 nadesłaną być może.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy Ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Od Redakcyi.

W kwartale trzecim r. b. pismo Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi co dotąd warunkami. Przypominamy, że prenumeratę najlepiej jest uskuteczniać *bez żadnego pośrednictwa* w samej Redakcyi, bo tylko tym jedynie sposobem regularne odbieranie numerów może mieć miejsce.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI
w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**
Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:
Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI
w Warszawie **kwartalnie — k. 75.**
Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:
Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . . . rs. 4.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 25 Мая 1881 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 24 r. 1881.

HISTORYA PEWNEJ PARYŻANKI,

przez

Oktawiusza Feuillet,

Członka Akademii francuzkiej.

Przekład

J. BELEJOWSKIEJ.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Dalszy ciąg).

Zeszły na dół trzymając się pod ręce, i w sali jadalnej zastały czterdziestoletniego może mężczyznę, wyglądającego na wojskowego w cywilnem ubraniu.

Chciałam pomówić z panem, rzekła Joanna głosem nieco drżącym... Mąż mój dziś rano wyjechał do Belgii... czy nie znasz pan powodu tego wyjazdu?

— Nie pani.

— Służący nic panu nie powiedzieli?

— Nic zupełnie.

— Stało się to tak nagle, ze może sami nic nie wiedzą. A! pan zapewnie domyślasz się przyczyny tej podróży... odgadujesz ją zapewnie po strasznym niepokoju w jakim ja i matka moja jesteśmy pogrążone... W tej oto zapewnie godzinie pan de Maurescamp bije się w pojedynku.

Za całą odpowiedź Leverède skłonił się poważnie; twarz jego zdradzała niejakie zadziwienie.

— Pojmujesz pan zapewnie nasz niepokój... czy nic nie powiesz, coby go choć trochę złagodzić mogło? mówiła to prędko z pomieszaniem.

— Czy mogę wiedzieć z kim się pojedynkuje pan de Maurescamp?

— Z hrabią de Lerne.

— O! w takim razie, odrzekł z lekkim uśmiechem, zdaję mi się, iż możesz pani być zupełnie spokojna.

Joanna wlepiła w niego oczy.

— Jak to mam rozumieć?

— Pan hrabia de Lerne jest, czyli raczej był stałym gościem w naszej sali... znam doskonale jego zdolność fechtunkową... był czas gdy na szpady mógł współzawodniczyć z panem baronem, ale od owego pojedynku z panem de Monthélin, w którym został ciężko ranny, zaszła wielka zmiana... męczy się bardzo prędko, i ani wątpić że pan baron prędko się z nim załatwi.. Sądzę więc, że może pani być zupełnie spokojna.

— A więc... rzekła po chwili, sądzisz pan, że baron zabije pana de Lerne.

— Oh! spodziewam się, że do tego znów nie przyjdzie... ale niezawodnie zada mu ranę, lub co najprawdopodobniej rozbroi... przynajmniej tak sądzę, jeżli powód pojedynku nie jest zbyt ważny.

— Tak więc upewniasz mnie pan, wyjąkała, iż nie potrzebuję obawiać się... o mego męża... jesteś przekonany, iż on nawet ranny nie będzie?

— Jestem tego pewny.

— Dziękuję panu.

Wiodła za nim wzrokiem dopokąd nie wyszedł, poczem chwytając matkę za rękę, zawołała stłumionym głosem.

— Ah! matko moja, czuję to że staję się występną!

Otworzywszy wielkie okno wychodzące wprost na ogród, weszły do niego i usiadły na ławeczce wśród krzewów zieleniejącego już bzu. Zaledwie usiadłszy, Joanna zawołała.

— Matka droga, według tego, co powiedział Lavarède, jeżli go zabije... będzie to prawdziwe morderstwo.

— Uspokój się, kochane dziecię... uspokój!... a!... gdybyś wiedziała jak strasznie, strasznie mnie dręczysz... A potem wnosząc z tego co ten Lavarède powiedział, powinnabyś raczej mieć nadzieję... przecież mąż twój nie jest znów potworem... a są rzeczy niemożebne dla ludzi honorowych... Jeźli rzeczywiście pan de Lerne nie może dostatecznie władać ręką...

— O! tak to prawda... sama uważałam to nie raz.

— No, więc niepodobna żeby mąż twój tego nie spostrzegł... a w takim razie poprzestanie na rozbrojeniu go.

— Ah! matko, on mnie tak nienawidzi... tak nienawidzi nas oboje... A potem, nie jest on dobry... jest zły i mściwy.

Jednakże uspokoiła ją nieco myśl, którą poddała jej matka. Rzeczywiście zdawało to się prawdopodobnem, boć bądź co bądź, pan de Maurescamp był człowiekiem honorowym—według znaczenia jakie świat przywiązuje do tej nazwy... Nie zechce pewnie korzystać i nadużywać takiej nierówności sił... a potem, może w drodze przyjdzie mu na myśl wszystko co żona mówiła mu wczoraj... zastanowiwszy się z zimną krwią, zanim stanie na placu walki będzie już mógł być przekonany o niewinności żony... a uspokojony tem... nie będzie szukał bezzasadnej zemsty...

Uczuła jakiś dobroczynny, uspakajający wpływ wszystkiego co ją otaczało; w ciszy tego murem otoczonego ogrodu, w czystości powietrza, w błękicie nieba, w woni rozwijającej się roślinności. Wyobraźnia nasza nie umie łączyć pojęć o gwałtach i krwawych scenach z uroczą pogodą i niezakłóconą ciszą przyrody, a oddychającym spokojem wsi lub ogrodów, zdaje się iż wszędzie panować musi spokój jaki ich otacza.

Czas upływał nie dając powodu do nowych wzruszeń, a tem samem łagodził nieco już doznane. Joanna i matka jej siedziały obok siebie milcząc i trzymając się za ręce, a po gwałtownym dotąd miotającym niemi niepokoju, zapadły w jakieś miłe prawie odrętwienie.

Było nieco po piątej gdy Joanna zerwała się nagle—usłyszała odgłos dzwonka w przedpokoju.

— Ah! teraz... to już! zawołała.

Upłynęło dwie minut. Joanna i matka jej stały obok siebie z oczami utkwionemi we drzwi. Ukazał się służący z tacą w ręku.

— Depesza telegraficzna! rzekł.

— Dawaj! zawołała Joanna, postępując ku niemu.

Zaczekała póki nie odszedł, i nie rozpieczętowując depeszy, spojrzała na matkę.

— Daj ja przeczytam, wyszeptała pani de Latour-Mesnil, chcąc wziąść depeszę.

— Nie, matko, odrzekła Joanna, będę mężną.

Rozdarła niebieską kopertę. Zaledwie rzuciła okiem na depeszę, ta wypadła jej z ręki, wzrok stał się błędnym, usta poruszyły się konwulsyjnie, wyciągnęła ręce, z piersi jej wydarł się krzyk straszny, który boleśnem echem rozległ się w całym pałacu, i zesztywniała padła u nog matki.

Podczas gdy nadbiegli służący przerażeni strasznym tym krzykiem, pani de Latour-Mesnil rozpaczliwie rzuciła się na kolana przy córce, starając się ją otrzeźwić, a jednocześnie gorączkowo pochwyciła leżącą na ziemi depeszę.

Oto co w niej stało:

„Soignies, trzydzieści minut po trzeciej.

Pan Jakób śmiertelnie ranny, skonał w tej chwili.

Ludwik."

XIII.

W tymże roku 1877, około połowy października a więc w sześć miesięcy później, państwo de Maurescamp mieszkali matrimonialnie w la Venerie, przepysznej posiadłości w pobliżu Compiègne, którą baron nabył przed rokiem. Był zapalonym myśliwym; a w la Venerie można było urządzać prześliczne polowania, i to mianowicie skłoniło go do nabycia tej nieruchomości.

Zaprosił na rozpoczynający się sezon bardzo wielu przyjaciół, a w ich liczbie panów: de Montliélin, d'Hermany, de la Jardye i Saville, a pani de Maurescamp spełniała obowiązki pani domu nietylko z wielkim wdziękiem i uprzejmością, ale nawet wesoło. Uznawano w ogóle, że wesołość była zbyteczną i że skoro tak niedawno, winnie czy niewinnie, ale zawsze była przyczyną śmierci człowieka, powinna była być lub przynajmniej choćby udawać smutek.

— Ale któż zbada nieprzeniknione tajniki serca kobiety!...

Z powodu owego pojedynku, ktory zakończył się tak nieszczęśliwie dla hrabiego de Lerne, najsilniejsze dowodzenia ani prośby nie zdołały przekonać Joanny de Morescamp, aby w domu męża czekała jego powrotu. Zabrała syna i zaraz wieczorem przeniosła się do matki. Pani de Latour-Mesnil musiała podjąć się delikatnego zadania, aby wspólnie z panem de Maurescamp ułożyć zastrzeżenia i warunki czasowego trybu życia odpowiedniego do okoliczności, i nad wszelkie spodziewanie zięć okazał się dość uległym i skłonnym do zgody. Rad był w gruncie iż nie potrzebuje natychmiastowo być narażonym na widzenie się z żoną, a może i czuł także jakiś wyrzut sumienia, iż bez żadnego uzasadnionego powodu posunął się za daleko, krzywdząc żonę i pozbawiając życia niewinnego człowieka. Nikt nie może być rad temu, że zabił człowieka, a jakkolwiek pan de Maurescamp nie grzeszył sentymentalnością, miał przecież choćby weale nie drażliwe sumienie, które budziło w nim pewne wyrzuty i poczucie winy—i to natchnęło go pojednawczem usposobieniem okazanem pani de Latour-Mesnil. Zgodził się więc na to, że pani pe Maurescamp zatrzyma syna, i uda się wraz z matką najpierw do Vichy a następnie do Vevey w Szwajcaryi, gdzie obie przepędzą lato. Przez ten czas oboje będą mogli ochłonąć i uspokoić się, tem więcej że według pani de Latour-Mesnil, same tylko nieszczęsne nieporozumienia były przyczyną wszystkiego.

Przez cały tydzień tylko o tym pojedynku mówio.

no w Paryżu. Smutny jego rezultat spowodował nawet zwrót opinii, nader przyjazny dla dobrej sławy pani de Maurescamp. Między tak okropnem zakończeniem a nierozwagą, jaką jedynie można było zarzucić postępowaniu Joanny i pana de Lerne, tak rażąca zachodziła nierówność, iż musiało to uderzyć każdego i rozbroić potwarz. Uznawano ogólnie, że baron de Maurescamp okazał się zanadto dzikim i okrutnym, dla człowieka, który tem jedynie zawinił, że żonie jego czytywał książki. Te i podobne dowodzenia zadawalniały pychę pana de Maurescamp i pochlebiały jego próżności, co naturalnie przyczyniło się bardzo do pojednania małżonków.

Z początku pani de Maurescamp ani chciała słuchać o zgodzie; ale po dwóch czy trzech miesiącach rozpaczy graniczącej prawie z obłędem, zdawało się że ochłonęła nagle i oznajmiła matce że stosując się do jej rady, powróci do męża, ale żądała jeszcze paru miesięcy zwłoki.

— Trzeba przecie, rzekła z goryczą, aby ręce jego mogły ze krwi obeschnąć.

Od czasu powzięcia tego postanowienia, usposobienie jej zmieniło się znacznie; zdawało się że zaczyna nabierać ochoty do życia, że przyszłość dość żywo ją obchodzi i odzyskuje powoli dawne swe ożywienie i czynność.

Powróciła więc do Paryża i do męża w końcu września, i weszła do domu jak gdyby wracając ze zwykłej podróży. —Co prawda, pan de Maurescamp zdawał się więcej od niej zmieszany. Jednakże ponieważ nigdy nie byli z sobą bardzo serdecznie, obejście ich z sobą nie zmieniło się na pozór. Dotknęła lekko ręki, którą podał jej na przywitanie, a przedmiotu do rozmowy dostarczyło im zdrowie syna, który podrosł znacznie, zmężniał i ślicznie wyglądał. W kilka dni po jej powrocie wyjechali do la Vénerie, gdzie zaproszeni goście mieli ochronić ich od kłopotliwego sam na sam.

Łatwo się domyśleć, że tak dla sąsiadów jak i dla gości pałacowych, pani de Maurescamp stała się przedmiotem ciekawości; czyż podobna było nie zwrócić szczególniejszej uwagi na osobistość i zachowanie się młodej kobiety, której nazwisko łączyło się z katastrofą tak tragiczną, głośną i pełną tajemniczości. Ciekawość wszystkich została zawiedzioną; obejście Joanny było spokojne i naturalne, i nie posądzając ją o nadzwyczajną skrytość, (o którą nie dopuszczając się po twarzy, zawsze posądzać można kobiety) trzeba było wnosić, że pogodziła się ze swoim losem, zapomniała zmartwień i przykrości jakie przebyła. Tak więc, jak powiedzieliśmy, uznawano powszechnie, że za nadto wesoło nosiła żałobę po człowieku, który umarł dla niej i był co najmniej jej przyjacielem.

— Doprawdy, nie bardzo to zachęcające! rzekł pewnego razu piękny Saville do pani d'Hermany. Ggdyby tak biedny de Lerne mógł chwilowo na ten świat powrócić, diabelnie byłby zdziwiony i bolesnego doznałby zawodu.

— Dlaczego?

— Ależ bo to oburzające! słowo daję, mówił piękny Saville, który nie był orłem, ale miał dobre serce — możnaby sądzić, że śmierć tego biedaka bardzo jej jest na rękę!... Nigdy nie była tak swobodną, tak wesołą i ożywioną... I daj się tu zabijać dla takich pań!...

— Ależ, mój przyjacielu, nikt nie myśli o zabiciu ciebie... możesz być spokojny... co zaś do przyjaciółki mojej Joanny, nie można sądzić jej z pozoru... Nie wiem nic co się roi w jej ślicznej głowie... ale w oczach jej przebija coś, coby mi się nie bardzo podobało gdybym była jej mężem.

— Ja tam nic takiego nie widzę w jej oczach.

— Nic dziwnego, odrzekła.

Ten wesoły humor żony, rażący wszystkich do koła, nie raził bynajmniej pana de Maurescamp; przeciwnie bardzo sobie tego wińszował. Jest to kobieta poskromiona, mówił sobie. Otóż to, zupełnie poskromiona! Taki jest mój system!... przycierać rogów kobietom!... Od czasu gdy dałem jej nauczkę, trochę surową co prawda—nabyła praktycznego rozsądku... i jest teraz sto razy szczęśliwsza i milsza.. To doskonale... arcy doskonale!..

I rzeczywiście dziwna zaszła zmiana w upodobaniach i nawyknieniach Joanny; zamiast, jak dawniej cenić tylko rozkosze mające źródło w duszy i w inteligencyi, nabrała wyłącznego niemal zamiłowania do rozrywek i uciech fizycznych. Nigdy nie wzięła książki do ręki; zamknęła fortepian; ulubiony jej zamykany pamiętnik przestał być powiernikiem jej uczuć i wrażeń, nie wpisywała do niego wyjątków z ulubionych poetów.

Utraciła tę odznaczającą ją dawniej tkliwą skłonność do wzruszeń i uniesień, przejąwszy natomiast tę pospolitą i nieznośną manię paryzką, ciągłego szydzenia i drwinkowania. Ulubionemi teraz jej upodobaniami było: jeżdżenie konno, polowanie, gra billardowa i taniec. Brała udział w polowaniach konnych i pieszych, a wieczorem była mimo to nie strudzoną tancerką. Mężczyznom nigdy nie wydawała się tak piękną, ale też nigdy dawniej nie przypuszczali aby mogła być tak zalotną. Rzeczywiście stała się nią obecnie; ale w tej tak nowej dla siebie sztuce zdradzała niewprawność debiutantki, nie umiejącej jeszcze zachować właściwej miary. Ztąd też ruchy jej i mowa przekraczały niekiedy odcienia stanowiące granice między dobrem a złem towarzystwem. Ale podobało się to właśnie panu de Maurescamp, bawiło go i śmiał się z tego ze swymi przyjaciółmi:

— Jest teraz *odgłupioną*! mówił. Rozpoczyna nowe życie... niektóre barwy jeszcze za mocne... ale to się wyrówna.... Podobna teraz do owych młodych mężatek, co na drugi dzień po ślubie prawią takie niedorzeczności... ale to przejdzie!...

Jednakowoż po pewnym czasie uznał, że żona jego zanadto poszukuje męzkiego towarzystwa. Że im dotrzymywała towarzystwa na spacerach, na polowaniu, w sali billardowej—z tego bardzo był zadowolniony, ale dziwiło go to nieco, iż udaje się za nimi aż do wielkiej sali, w której zbierali się prawie codzień rano dla szermierki i fechtunku. Sala to była ogromna, której ściany wyłożone były marmurem i doskonale oświecona przez wielkie okna; nadawała się więc wybornie do tego rodzaju sportu. Do koła pod ścianami stały wysokie ławki dla widzów.

Gdy pierwszy raz pan de Maurescamp i goście jego nagle przez kłęby dymu od cygar spostrzegli Joannę siedzącą w jednej z tych ławek, nietylko zadziwili się mocno, ale nawet niemiłego doznali wrażenia. Weszła po cichu niepostrzeżona i usiadłszy przypatrywała się fechmistrzom i szermierzom. Wszystkim panom wydało się to nadzwyczaj dziwnem, ażeby osoba uważana za delikatną i tkliwą, mogła spokojnie przypatrywać się szermierce, która musiała tak straszne przywodzić jej wspomnienia. Musieli jednak przyzwyczaić się do jej obecności, bo ani razu nie zaniedbała przyjść do sali fechtunku, w godzinach w których pan de Maurescamp fehtował się w niej ze swymi gośćmi. Zdawała się śledzić ich robienie bronią z jakiemś namiętnem zajęciem: pochylona nieco naprzód, z utkwionym w nich i nieruchomym wzrokiem, wpatrywała się bacznie w jaki sposób wymierzają i odpierają ciosy. Lecz ta jej niepojęta ciekawość i dziwny dyletantyzm dosięgały najwyższego stopnia, ile razy mąż jej osobiście występował z kimś do walki, wtedy nadzwyczajne natężenie uwagi odbierało jej oddech. To śledzenie każdego jego ruchu zdawało się zawadzać panu de Maurescamp.

Dzięki tak niezmordowanej uwadze i przypatrywaniu się, Joanna nabyła pewnej znajomości fechtunku, i mogła dość trafnie sądzić o pewności ciosów i względnej sile szermierzy. Przekonała się tedy naocznie, iż jak to mówiono, mąż jej był rzeczywiście szermierzem niezwykłej zręczności, wprawy i siły, nadzwyczaj pewny siebie, i że ze wszystkich obecnych gości jeden tylko mógł mierzyć się z nim bez zbyt rażącej nierówności. Był to pan de Monthélin. W paru utarczkach udało mu się nawet przewyższyć niektóremi rzutami swego gospodarza, co zjednało mu uprzejme pochwały pani de Maurescamp.

XIV.

Oswobodzony od współzawodnictwa hrabiego de Lerne, pan de Monthélin powrócił zwolna do dawnej swej roli wielbiciela i pocieszyciela pani de Maurescamp. Tak się jakoś rzeczy składały iż już zaczął wielkie robić sobie nadzieje, gdym wtem zaszło niespodziewane zdarzenie, bardzo je osłabiające.

Oprócz sąsiadów i ciągłych gości pałacowych pan de Maurescamp zapraszał niekiedy na polowanie oficerów stojących garnizonem w Compiègne, których albo znał w Paryżu, albo poznał w lesie na polowaniach. Pomiędzy tymi oficerami, po większej części ludźmi światowymi i dobrze wychowanymi, był jeden stanowiący wyjątek, dziwiono się też powszechnie, że był przyjmowany w la Vénerie. Był to młody kapitan szaserów, niejaki pan de Sontis, jak to mówią dobrego urodzenia, ale źle wychowany, wiodący złe życie i odznaczający się grubiaństwem. Osobistość jego nie wynagradzała bynajmniej braków towarzyskich i moralnych. Był niskiego wzrostu, brzydki, czarny, chudy, miał rzadkie żółtawo-blond włosy, małe i szare oczy z niemiłym, szydersko cynicznym wyrazem. Ale obok tego sportsman skończony: pod względem fechtowania, wyścigów, polowania, słowem wszystkiego co tylko dotyczyło sportu, był nietylko jak najkompetentniejszym znawcą, ale doskonałym wykonawcą. Te jego specyalne przymioty zajęły bardzo pana de Maurescamp, któremu przyszło od pewnego czasu do głowy zająć się hodowlą koni i zaprowadzenia w la Vénerie stajni wyścigowej; w ważnym tym przedmiocie odbywał nieustanne narady z kapitanem de Sontis i nadzwyczaj wysoko cenił jego szacowne rady.

Za to pani de Maurescamp od pierwszego wejrzenia uczuła niewysłowioną antypatyę do tego człowieka—i bynajmniej nie zadawała sobie trudu aby mu tego nie okazać. To też przyjęła go nieszczególnie, gdy w pierwszych dniach grudnia zaproszony przez pana de Maurescamp, przybył do la Vénerie na trzy tygodnie; dotąd bowiem tylko z powodu polowania przyjeżdżał niekiedy na obiad lub na śniadanie.

Zaraz w pierwszy dzień przybycia kapitana de Sontis do pałacu, pan de Maurescamp zaprosił go uprzejmie, aby, jeżli w tem znajduje przyjemność, towarzyszył jemu i paru gościom do sali fechtunku. Kapitan odpowiedział, iż bardzo chętnie zabawi się fechtowaniem, gdyż już od bardzo dawna nie miał do tego sposobności. Miał tedy zmierzyć się z panem de Maurescamp. Gdy stanęli naprzeciw siebie, pan de Maurescamp zadziwił się niepomiernie, spotyka-

jąc w tej marnej figurce nader poważnego przeciwnika. Mały ten i chudy człowieczek, odznaczał się nadzwyczajną bystrością oka, zręcznością i zrutnością tygrysią. Z początku mieszały mu trochę szyki śmiałe i wytrawne obroty pana de Maurescamp, ale prędko pomiarkował się i oswoił z niemi, i w końcu okazał się nawet lepszym szermierzem niż jego przeciwnik. Niemile tem dotknięty, pan de Maurescamp powiedział jednak z uśmiechem, iż spodziewa się odegrać nazajutrz.

— I owszem, jestem na rozkazy pana, odrzekł de Sontis, ale uprzedzam iż poznałem już grę pana barona, i że nie dotkniesz mnie jak tylko gdy zechcę na to zezwolić.

— Zobaczymy to jutro, odparł oschle pan de Maurescamp.

Jak zwykle tak i dnia tego Joanna była obecną w sali fechtunku; opuściła ją z miną nader poważną i zamyśloną, jakiej od czasu zmiany wychodzenia nie widywano u niej—i tak dotrwała do wieczora.

Nazajutrz nie omieszkała przybyć do sali.

Po wczorajszej próbie, dzisiejsza utarczka pana de Maurescamp z kapitanem de Sontis wyjątkowe budziła zajęcie. Ciekawość wszystkich widzów żywo była podnieconą, ale szczególne zajęcie się pani de Maurescamp najwyższego dosięgało stopnia. Wyraz jej twarzy i oczu, gdy z natężonym wzrokiem śledziła każdy ruch walczących, zdradzał niepojęte zaciekawienie czyli raczej niewysłowiony niepokój, któremu okoliczności nie odpowiadały bynajmniej.

Utarczka skończyła się niepomyślnie dla pana de Maurescamp. Jakkolwiek kapitan szaserów nie dorównywał gospodarzowi swemu siłą muskularną, był jednakże nadzwyczaj wytrawnym i zahartowanym szermierzem, pomimo wątłej niby powierzchowności. Od dawna był wytrawnym mistrzem w sztuce fechtowania, nader prędko więc uchwycił słabe strony i braki, wprawnej zresztą i groźnej dla słabszych szermierki pana de Maurescamp. Poznał, iż tenże fechtując się nie był wolny od wady, jakiej zazwyczaj podlegają ludzie bardzo silni i krwiści, to jest, że za wiele rachował na siłę swoją i nadużywał jej prawie bezwiednie. Obdarzony niezrównaną lekkością i dokładnością ruchów i ręki, pan de Sontis był niepochwycalnym dla przeciwnika: mieszał go i olśniewał gdzieindziej niby mierzonemi, a rzeczywiście w przeciwnym kierunku godzącemi ciosami, korzystał z każdego uchybienia jakiem podlegają zwykle gwałtowni szermierze, godząc w odsłonione miejsca z piorunującą szybkością. Pan de Maurescamp miał przed sobą szpadę jakby niewidzialną i niedosięgalną—czuł ją wtedy tylko gdy dotykała jego piersi. Utarczka skończyła się na tem, iż pięć czy sześć razy dosięgła go szpada przeciwnika, którego on nie dotknął ani razu.

Nader drażliwa miłość własna pana de Maurescamp, nie dozwalała mu przyznać stanowczej wyższości przeciwnika; powiedział tylko, że dziś nie był usposobionym do walki i postanowił ponowić próbę następnych dni. Ale i w tych nie był szczęśliwszym. Wprawdzie w dwóch czy trzech z kolei utarczkach, zdołał parę razy dotknąć pana de Sontis końcem swego floretu, ale aż nadto widocznem było dla wszystkich, że ten przez grzeczność tego dopuścił.

Zły i upokorzony w duchu, od tego czasu pan de Maurescamp pod różnemi pozorami wymawiał się od fechtowania.

Kobiety lubią mężnych i zwycięzców. I zapewnie też skutkiem szlachetnego tego upodobania, tak wybitnego w jej płci, pani de Mourescamp przebaczyła nagle, jak się zdawało, kapitanowi jego trywialne obejście i brak wychowania, a nawet zaczęła wyszczególniać go widocznie, zaszczycając szczególniejszemi względami, wbrew okazywanej dotąd obojętności i pogardliwej, ze wstrętem graniczącej niechęci. Jakkolwiek pan de Sontis nie przypuszczał, aby miał mieć szczęście do kobiet wielkiego świata, nie mógł przecież nie widzieć nader wyraźnych okazywanych mu łask i grzeczności. Jednakże z początku przyjmował je nader ostrożnie, czy to że czuł się onieśmielonym w obec tak wykwintnej damy salonowej jak Joanna de Maurescamp, czy też przeczuwał, a był nader bystry i przebiegły, jakąś nieznaną mu zasadzkę kryjącą się pod względami, których sam czuł się nie godzien.

Jakkolwiek było to dziwne i nieprawdopodobne, aby tak powabna, urocza i nieskalana dotąd kobieta, mogła się zająć tak marną i pospolitą osobistością, jednak pozory przemawiały za tem. Szczególniej podczas ostatniego tygodnia pobytu młodego oficera w la Vénerie, symptomata niepojętej dla niego miłości Joanny uwadatniały się coraz widoczniej w obec ciekawych i zazdrośnych bacznie śledzących ją widzów. Dziwiono się nadzwyczajnie, iż tak kompromitujące objawy mogły ujść baczności tego, kogo najwięcej obchodzićby powinny, to jest barona de Maurescamp, który dał przecież dowód do przesady posuniętej drażliwości mężowskiej; a dziwiono tem więcej, że pani de Maurescamp nietylko nie starała się bynajmniej ukrywać swych uczuć, ale raczej objawiała je aż nadto nieostrożnie. W oczach męża prowadziła jakieś tajemnicze rozmowy z panem de Sontis; jeźli mąż przechodził przez dziedziniec, a stał wtedy pod oknami oficer szaserów, odpinała bukiecik od gorsu i rzucała mu; odbywała z nim konne przejażdżki i wracali tak późno, że aż pan de Maurescamp zaczynał się, jeźli nie niepokoić, to przynajmniej niecierpliwić. Nie raz przez cały wieczór z nim wyłącznie tańczyła walca, rozmawiając jednocześnie cicho i rzucając płomienne spojrzenia.

Pomimo całej przezorności i niedowierzania, pan de Sontis musiał nareszcie uwierzyć tak wyraźnym objawom tej tak nowej dla niego miłości, i odpłacał ją jakimś dzikim prawie szałem, co zdawało się bardzo bawić panią de Maurescamp.

A pan de Maurescamp ciągle nic nie widział. Jednakże z jakiegobąć pochodziło to powodu, zdawał się jakoś nie swój; był jakby zakłopotany, mniej mówił, nie był tak wesołym ani tak przewodzącym jak zwykle,—słowem zakrawał na melancholika. Mocno rumiana twarz jego dostawała czasami plam białych lub sinych. Bacznego i rozumnego dostrzegacza, uderzyłyby zuchwale szyderskie spojrzenia, jakie żona rzucała nań niekiedy, a których on niecierpliwie unikać się starał.

Dzień 28 listopada był ostatnim dniem pobytu kapitana w pałacu. Dnia tego nie było polowania. Pan de Maurescamp wyszedł zaraz po śniadaniu, dojrzeć reperacyi powilonu myśliwskiego; wracając do pałacu, omijał zwykle wielkie aleje parku i dla skrócenia drogi, skręcał w uliczkę zwaną aleją Dianny. Przechodziła ona przez gęste zarośla dawnego parku mającego być zamienionym na ogród warzywny, które tworzyły teraz rodzaj dzikiego nadzwyczaj odosobnionego i samotnego gaju. Nazwa alei Dianny pochodziła od stojącego tu dawniej posągu tej bogini; obecnie pozostał tylko postument; posąg runął od dawna.

Miejsce tak odosobnione i tak tajemnicze, nadawało się wybornie do miłosnych przechadzek i zwierzeń, było to jednak nierozważnie ze strony Joanny, obierać je tego właśnie poranku za widownię czułych pożegnań z kapitanem de Sontis. Wiedziała, że mąż udał się do myśliwskiego powilonu; wiedziała, że tą drogą zawsze powraca,—i jakże mogła tak ją zaślepić namiętność, aby zapomniała, że przechodzić nią będzie właśnie o tej godzinie, w ktorej udała się tam z panem de Sontis?

Jak bądź się stało, dość, że byli tam oboje nadzwyczaj zajęci sobą. On usiadł obok niej na darniowej ławeczce urządzonej w rotundzie zieleni, wprost obalonego posągu. W przeddzień odjazdu oficer był czulszym niż zwykle, Joanna jeszcze łaskawszą. Rozmawiali cicho, pochyleni ku sobie, trzymając się za ręce. Wtem nagle pan de Sontis postrzegł w oczach Joanny iskrę, płomień prawie, najwyraźniej nie do niego się odnoszące; zwrócił prędko oczy ku lasowi w kierunku jej spojrzeń, i w końcu alei dostrzegł niewyraźnie przez drzewa mężczyznę, jakby wahającego się czy ma iść dalej; aż nagle zawrócił się, skierował kroki w inną stronę i znikł w gęstwinie.

— Zdaje mi się, że to mąż pani? zapytał.

— Tak.

— Czy sądzisz pani, że nas widział?

— Nie wiem.

— Ależ w takim razie byłby nikczemnym tchórzem.

Czy widział czy nie, dość, że spokojnie poszedł do pałacu przez nowy park, dłuższą ale wygodniejszą drogą. Wyszedł napowrót prawie natychmiast i do samego obiadu doglądał plantacyi i wycinania porębów. Dopiero gdy zadzwoniono na obiad, wszedł do sali jadalnej.

Może było to uprzedzenie, ale zdawało się kapitanowi de Sontis, iż gospodarz wita go z pewnym przymusem i że w twarzy jego znać zmianę i pomieszanie. Zasiedli do stołu; dnia tego było przeszło dwudziestu biesiadników. W ogóle niepopobało się to bardzo, że pani de Maurescamp posadziła przy sobie po prawej stronie kapitana de Sontis, najmłodszego z gości, mniejsze od innych zajmującego stanowisko,—ale odjeżdżał nazajutrz, więc okoliczność ta tłómaczyła do pewnego stopnia ten zbyt wielki wyświadczony mu zaszczyt. Czy to uchybienie etykiecie obraziło niektórych gości, czy czuć było w powietrzu jakąś nieokreśloną zapowiedź burzy, dość, że z początku obiadu lodowate prawie zapanowało milczenie. Ale wyborny obiad i obfitość doskonałych win rozpędziły wkrótce nagromadzone chmury, czoła się rozpogodziły i ożywiły umysły. Nareszcie rozmowa stała się daleko żywszą i weselszą nawet niż zwykle, jak to często się zdarza po przełamaniu pierwszych lodów i zakłopotania. Dość, że obiad zaczynający się jakby stypa pogrzebowa, kończył się jak wesoła pohulanka rozochoconych myśliwych, a obecność kilku ładnych kobiet dodawała biesiadnikom humoru i werwy. Sam nawet pan de Maurescamp, który dnia tego pił więcej niż zwykle, zdawał się być swobodniejszym, jakby rozpierzchły się chmury od rana zalegające jego umysł. Może serce jego radowało się, że już tak prędko pozbędzie się niewygodnego gościa, dość, że odzyskał zwykłą arrogancyę i pewność siebie, i raczył nawet swoim napuszonym i tryumfującym głosem wykładać gościom niektóre swoje zasady i ulubione systemata.

Pani de Maurescamp znowuż okazywała panu de Sontis tak widocznie wyróżniającą go grzeczność i względy, które nawet jego samego nieco kłopotały; nadto, jakby naśladując męża, wychyliła parę kielichów Sauterne i Szampana, co podniecało ją do niezwykłej wesołości. Nagle wśród wybuchów krzykliwej wesołości, chwilami zapadała w posępną zadumę, jakby zmęczona bachantka.

Przy wetach oznajmiła że każe podać kawę w sali jadalnej; wszyscy są w tak wybornem i wesołem usposobieniu, które rozwiałoby się niezawodnie gdyby się rozpierzchli, jedni przechodząc do salonu inni do fajczarni... Pozostaną więc razem, a za to pozwala panom palić. Biesiadnicy przyjęli to oznajmienie z głośnemi oklaskami.

Podano kawę i cygara. Joanna oznajmiła, że ma ochotę sprobować palić cygaro, i wzięła jedno do ręki.

— Nie dobrze ci się zrobi, zawołał pan de Maurescamp,—weźże już przynajmniej cygaretkę.

— Nie!... nie!... chcę palić cygaro! zawołała, a w oczach jej malował się jakby odcień obłędu.

Pan de Maurescamp wzruszył ramionami i zamilkł.

Potarła zapałkę, zapaliła cygaro i zaczęła palić śmiało w obec wszystkich głośne bijących jej oklaski.

Po upływie paru minut, zawołała:

— A! miałeś słuszność... nie dobrze mi!...

I obracając się prędko do swego sąsiada z prawej strony:

— Kapitanie, rzekła wyjmując z ust i podając mu wiigotne cygaro,— weź je i dokończ!

Jak tylko wypowiedziała te słowa, zdawało się, że dwudziestu tak wesołych i krzykliwych przed chwilą biesiadników, nagle w marmurowe zamienili się posągi: w sali na raz tak głęboka nastała cisza, iż można było slyszeć szmer wiejącego na dworze wietrzyku.

Oczy wszystkich wpatrzone przed chwilą w Joannę, zwróciły się na jej męża siedzącego na przeciw niej; był nadzwyczaj blady,—patrzył na pana de Sontis i czekał.

Oficer zawahał się chwilę: poważnie, jakby zapytując, wpatrzył się w oczy Joanny.

— No! cóż? rzekła, czegoż się pan boisz?

W tej chwili przestał się wahać, i wziąwszy podawane sobie cygaro, zaczął je palić.

Natychmiast pan de Maurescamp wyjął z ust cygaro które palił, i gwałtownie rzucając je w twarz panu de Sontis, zawołał:

— Skończ i moje, panie kapitanie!]

Na w pół wypalone cygaro uderzyło w twarz kapitana i aż iskry posypały się z niego. Wszyscy powstali.

W pośród ogólnego zamieszania i osłupienia, Joanna wytrzeźwiała nagle, zimna, nieruchoma, stanęła ręką wsparta o krzesło. Piękna twarz jej dawniej tak czysta i szlachetna, zdawała się pokryta maską Tezyfony i wyrażała zarazem przerażenie i dziką radość, jakie musiały odbić się na pięknem czole Maryi Stuart, gdy usłyszała wystrzał, który pomścił się na zabójcy Rizzia.

XV.

Po tej scenie, zapowiadającej tak groźne i tragiczne następstwa, większość zaproszonych rozjechała się; sąsiedzi kazali zaprzęgać jak najprędzej; inni odjechali pociągiem odchodzącym do Paryża. Sami tylko najbliżsi przyjaciele pozostali w pałacu.

Kapitan de Sontis wyjechał naturalnie najpierwszy; przenocował w wiosce sąsiedniej.

Ponieważ pojedynek stał się nieuniknionym, więc dwóch oficerow z tegoż pułku, którzy także byli na tym obiedzie, porozumieli się zaraz z panemi d'Hermany i de la Jardye, których znowu pan de Maurescamp prosił na sekundantów.

Nie będziem nudzić czytelników opowiadaniem szczegółów umowy sekundantów, ma się rozumieć, że o pogodzeniu przeciwników mowy nawet być nie mogło. Co do wyboru broni, naturalnie, że po kilku próbkach fechtowania się z panem de Sontis, baron de Maurescamp chciałby był pojedynkować się na pistolety; ale jeźli bardzo niestosowne postąpienie kapitana, posłusznego wezwaniu pani de Maurescamp, stawiało z początku męża w roli obrażonego, to utracił on ten charakter skutkiem swego gwałtownego uniesienia, mocą ktorego za brak salonowości odpłacił śmiertelną obelgą. Zresztą sama pycha nie dozwalała panu de Maurescamp targować się o wybór broni, przystał więc na szpady, bez względu na poszepty rozwagi i przezorności.

Postanowiono że pojedynek nastąpi nazajutrz o godzinie dziesiątej na polanach w sąsiednim lesie, gdyż uznano niestosownem, aby się odbywał na gruncie pana de Maurescamp.

Mało kto spał tej nocy w pałacu la Vénerie.

Goście pozostali prowadzili w swoich pokojach ożywione rozprawy i narady; roznoszono różne wieści od jednego do drugiego; mężczyźni debatowali nad całą tą kwestyą ze stanowiska punktu honoru; kobiety, drażliwe i nerwowe, rozprawiały półgłosem, ocierając łzy niekiedy, po części zadowolnione w gruncie, jeźli nie z wydarzenia, to z żywego zajęcia jakie im nastręczało. Zbytecznem byłoby zapewniać, że cała służba pałacowa zostawała także pod wpływem żywych wrażeń, wywołanych jakimś niepokojem i przyjemną gorączką, jaką przejmuje większość ludzi niebezpieczeństwo innych.

Co do pana i pani domu, ci prawdopodobnie nie spali wcale. Pan de Maurescamp, pojmując ważność położenia w jakiem się znajdował, musiał zapewnie zająć się uporządkowaniem swoich interesów; — Joanna nikogo widzieć nie chciała. Dowiedziano się tylko od jej panny służącej, że całą noc chodziła po pokoju i mówiła głośno — *jakby jaka aktorka.*

Zaledwie w godzinę po rozwidnieniu, pan de Maurescamp zajmujący apartament na dole pałacu, wyszedł na dziedziniec wypalić cygaro. Był to jeden z tych posępnych dni w końcu listopada. Chodząc po dziedzińcu doszedł do wchodowej kraty, i spotkał przy niej trzynasto czy czternastoletniego chłopaka wiejskiego, który spostrzegłszy go cofnął się nagle. Zdawało się panu de Maurescamp że jest to chłopiec stajenny z sąsiedniej wiejskiej oberży. Chłopiec tak się zakłopotał i zmieszał, iż choć ważnemi zajęty myślami, pan de Maurescamp nie mógł tego nie dostrzedz.

— Po coś przyszedł? gdzie idziesz?... zapytał.

— Do pałacu, wyjąkał zaczerwieniony.

I jednocześnie niezgrabnie jedną rękę ukrył pod bluzę.

— A po cóż idziesz do pałacu? zapytał pan de Maurescamp.

— Chcę się zobaczyć z panną Julią.

Julja była to panna służąca pani de Maurescamp.

— A któż cię przysłał, mój chłopcze?

— Jeden pan, odpowiedział coraz więcej onieśmielony chłopak.

— A! ten co mieszka w twojej oberży?

— Tak.

— Oficer?

— Tak.

— Cóż tam chowasz pod bluzę?... list?... daj mi go!... no! pokaż zaraz!

Chłopak płacząc prawie, trochę dobrowolnie, trochę przymuszony, oddał zapieczętowany list, który trzymał pod bluzą w zaciśniętej dłoni.

List był bez adresu.

— Do kogoż jest ten list, mój chłopcze?

— Do pani, odpowiedział.

— Więc kazano ci oddać go pannie Julii, aby ta oddała go swej pani?

Chłopiec twierdząco skinął głową.

— No, mój chłopcze, to ja spełnię co ci polecono... Chodź za mną zabrać odpowiedź, jeźli będzie.

Pan de Maurescamp, idąc przed chłopakiem prędko przebiegł dziedziniec, i zostawiwszy go w sieni wszedł do siebie.

Znalazłszy się w swoim pokoju, natychmiast rozdarł kopertę listu do żony i przeczytał kilka słów następnych; choć nie było podpisu, nie mógł wątpić od kogo pochodzą:

„Bądź pani spokojna; przez miłość dla ciebie będę względnym dla niego.”

Zawsze gwałtowny i popędliwy, pan de Maurescamp chciał w pierwszej chwili podrzéć ten list zuchwały, ale po chwili zastanowienia zmienił zamiar. Wziąwszy z biórka nową kopertę, wsunął w nią ów list i zalepił. Ogarnęła go dziwna, nieprzeparta ciekawość: chciał się dowiedzieć czy i co też żona jego odpowie.

Wyszedł do chłopca czekającego w sieni.

— Mój chłopcze, rzekł, oddając mu list, nie mogłem w tej stronie znaleść panny Julii.. musi być w oficynie.... Zadzwoń kochanku do tych drzwi naprzeciwko... zapytaj o nią.... A tu masz franka za fatygę.

Chłopiec podziękował i poszedł do oficyny; pan de Maurescamp powrócił do zakratowanej bramy, opuścił dziedziniec, wyszedł na drogę wiodącą do wsi, i zaczął wolno przechadzać się po niej.

Dziwna rzecz! za godzinę miał odbyć pojedynek bardzo niebezpieczny, w którym mógł stracić życie, a jednak w tej chwili prawie zapomniał o tem, zajęty tą jedynie myślą: — Co też żona moja mu odpowie?

W rzeczywistości człowiek ten, fizyczną jedynie obdarzony siłą, nie umiał walczyć z tajemnym niepokojem dręczącym go od kilku tygodni. Nie umiał otrząsnąć się z zadziwienia i nader silnego wrażenia, jakie wywarły na nim tak zacięta nienawiść, ta rozmyślna, nieubłagana, umiejętnie obmyślana zemsta, na której łup czuł się wystawionym. Nawykły uważać kobiety za zabawkę, za dzieci, osłupiał i zarazem przeraził się niewymownie, spotkawszy nagle u jednej z tych wątłych i pogardzanych istot, taką głębokość poglądów i tak niezłomną siłę woli, na które wszystkie osobiste jego potęgi—wielka siła fizyczna, bogactwo, stanowisko społeczne, władza mężowska, najmniejszego nie miały wpływu, rozbijając się jak bańka mydlana.

Może w tej chwili rozstrojenia i głębokiego niepokoju, byłby nader drogo okupił jedno dobre słowo, najlżejszą oznaką współczucia lub choćby litości, ze strony tej kobiety, którą dawniej odtrącił tak pogardliwie.... Może spodziewał się, że słówko takie wyczyta w oczekiwanej odpowiedzi.

Po upływie dziesięciu minut, ukazał się chłopiec wychodzący z pałacu. Uspokojony zupełnie następstwami pierwszego swego spotkania z panem de Maurescamp, ani myślał teraz chować przed nim listu, który mu oddano. Szedł uśmiechnięty i zbliżywszy się, pozdrowił pana de Maurescamp.

— A, rzekł tenże, zatrzymując go, dano ci odpowiedź!... pokaż no mi ją!... Wiem o co chodzi... może trzeba żebym dopisał słów kilka...

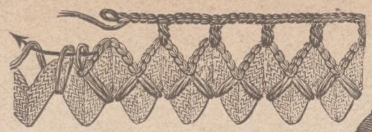
I znowu srebrny pieniądz włożył mu w rękę.

(D. n.)

Opis do N-ru 23.

(Dokończenie.)

N. 41. Paletocik z kapturkiem dla dziewczynki lat 3—5. Krój N. IV.



N. 1. Ząbki z tasiemeczki obrobionej szydełkiem.

Paletocik odrobić można z sukienka, szewiotu lub waterproof; ładnie wyglądają rozporki boczne, ozdobione sznurem z kwastami i ranwersem. Wypustki przy kieszeniach, patkach, mankietach i przemarszczana podszewka w kapturku, na modelu była z ponsowego atłasu.

N. 42—43. Płaszczyk z potrójną pelerynką, dla młodej panienki.

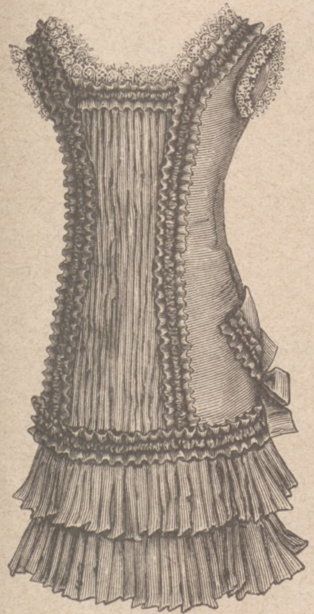
Płaszczyk z przodu luźny; z tyłu wcinany, przykrawa się podług formy paletota, na jeden rząd guzików zapinanego. Pelerynka może być pojedyńcza, podwójna albo potrój-na. Na modelu do szewiotu grochowego koloru, dane były ciemno-ponsowe wypustki. Guziki rogowe; pod szyją spięcie metalowe z łańcuszkiem.



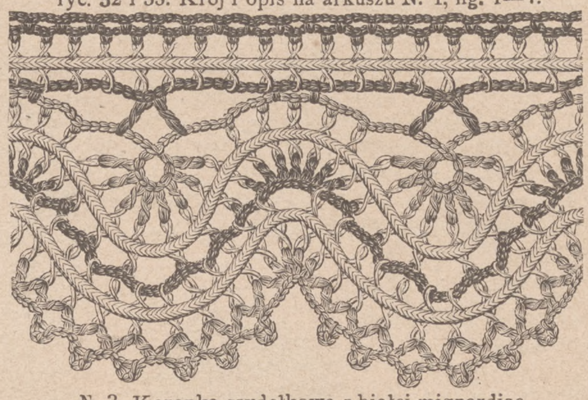
N. 5—6. Staniki krótkie do sukien ryc. 32 i 33. Krój i opis na arkuszu N. I, fig. 1—7.



N. 2. Ząbki z tasiemeczki obrobionej szydełkiem.



N. 7. Sukienka princesse z kwadr towym wykrojem dla dziewczynki lat 7—9. Krój na arkuszu N. VII, fig. 32-34.



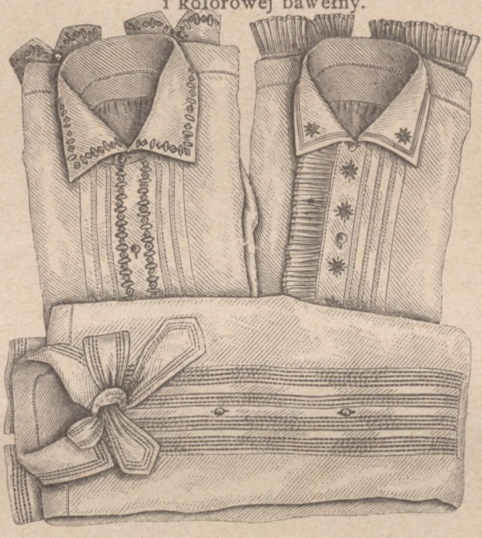
N. 3. Koronka szydełkowa z białej mignardise i kolorowej bawełny.

N. 44—45. Paletot bluzkowy, dla panienki lat 10—12. Krój N. XIV fig. 64—67a.

Formę przodów, boczków i pleców, podaną na fig. 64 i 65, trzeba od dołu podług podanej miary przedłużyć i rozszerzyć. Pomiędzy wierzch i podszewkę karczka, przykrojonego podług fig. 66, wszywa się zmarszczone w górze plecki, które na wcięciu w pasie są kilka razy przemarszczone i do 14 cent. przyciągnięte. Kawałek podszewki umacnia marszczki od spodu. Skośny kawałek materyału z brzegów nagłówkami zakończony, w środku przemarszczany, stanowi 9 cent. szerokie mankiety i 11 cent. szerokie kieszonki. 4 cent. szeroki, prosty, stojący kołnierzyk, pokrywa podobne przemarszczenie. Pasek z przodu zapinany, przymocowany jest guzikami z obydwóch stron przy marszczkach pleców. Guziki rogowe.



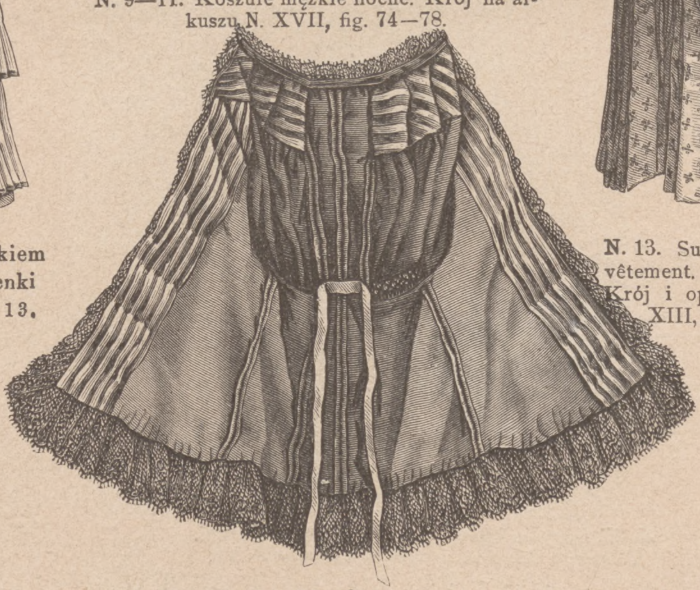
N. 12. Suknia z krótkiem vêtement, dla panienki lat 10-12. Patrz ryc. 13.



N. 9—11. Koszule męzkie nocne. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 74—78.



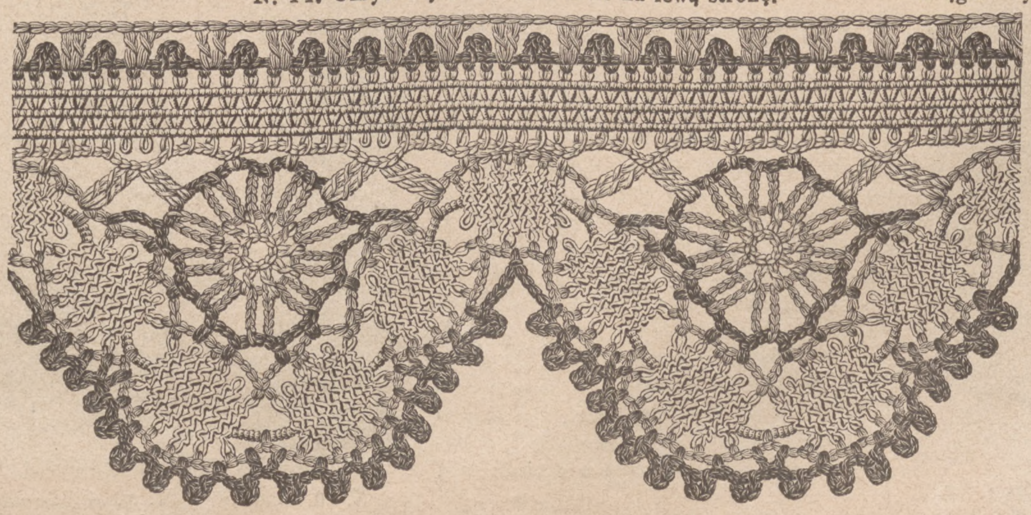
N. 13. Suknia z krótkiem vêtement. Patrz ryc 12. Krój i opis na arkuszu N. XIII, fig. 59—63a.



N. 14. Okrycie ryc. 27 odwrócone na lewą stronę.



N. 15. Okrycie z fałdowaną pelerynką. Patrz ryc. 28. Krój i opis na arkuszu N. XII, fig. 56—58a.

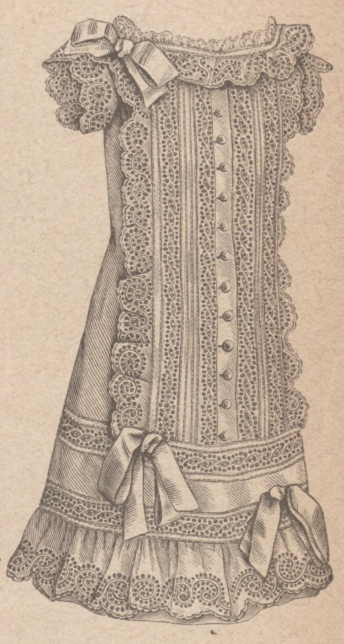


N. 4. Koronka z torsadki écru i kolorowej bawełny.

Opis do N-ru 24.

N. 1—2. Ząbki szydełkowe.

Rycina 1 przedstawia ząbki z tasiemeczki i dwóch obrobień szydełkowych; w pierwszem robić 2 o. śc. przeprowadzane wierzchem tasiemeczki w zagłębieniach ząbków, dalej 3 o. pow., 1 o. śc. za czubek ząbka i znów 3 o. pow. W drugiem obrobinniu 5 o. pow. i 1 słupek. Na rycinie 2 widzimy przy tasiemeczce w ząbki, z nitkami brzeżnemi dodanemi fabrycznie, dwa obrobienia szydełkowe. Nitki szydełkiem krzyżują się i tworzą jakby pikoty, przez które podług strzałki przeciąga się ocz. śc. w górnem obrobieniu przedzielane prosto idącym łańcuszkiem, a w dolnem tworzące ząbki podług ryc. 2.



N. 8. Sukienka princesse z okrągłym wykrojem. Krój jak do ryc. 7.

N. 3 i 4. Koronki szydełkowe.

Biała mignardissa i bawełna szafirowa i ponsowa składają materyał na koronkę ryc. 3; na rycinie 4 podana koronka z torsadki piaskowej z takiejże medaljonowej tasiemki i z bawełny w dwóch kolorach. Dokładność rycin i łatwość roboty czyni opis zbytecznym.

N. 7. Sukieneczka z kwadratowym wykrojem, dla dziewczynki lat 7-9. Krój na arkuszu N. VII, fig. 32-34.

Materyał dodany przy krajaniu pleców, składa się w fałdy zachodzące pod spód, pasując 8 do 8 i 10 do 10. Plastron ktorego brzeg dolny i boczny oznacza cienka linja prosta na fig. 32, fałduje się z odpowiedniego kawałka materyału i przyszywa na przodzie. Przybranie sukienki stanowią falbanki plisowane 10 cent. szerokie i riusze marszczone 3 cent. szerokie. Z boków dodane spiczasto ścięte kieszonki, u góry 12 cent. szerokie, w środku 14 cent. długie.

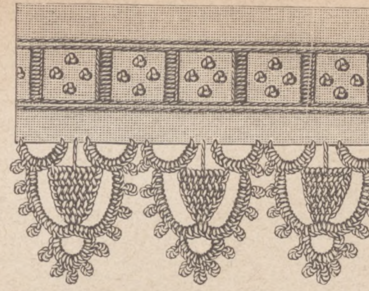
N. 8. Snkieneczka wycięta. Krój jak do r. 7.

Kraje się podług formy do ryc. 7, z tą różnicą iż odrzuca się zaszewki zaokrągla wykrój



N. 16. Paletot wcinany z szarfą.

szyi a zapięcie urządza wzdłuż przodu. U dołu sukienki dana haftowana falbanka 12 cent. szeroka, a nad nią wszywka 4 cent. szeroka, przystębnowana pliseczkami. Plastron przedni dany z takichże wszywek, zakładek i falbanek. Kokardy z kolorowej wstążki.



N. 17. Szlaczek i ząbki do kołnierzyka i t. p.

N. 9—11. Koszule nocne męzkie. Krój na arkuszu N. XVII, fig. 74—78.



N. 19. Kapelusz okrągły.

Obie połowy stanu fig. 74 i 75 przedstawiają się podług podanych miar; brzegi przednie podszyte są listewką 3 cent. szeroką, zapięte na guziki a u dołu przystębnowane paseczkiem. Górny brzeg stanu wszyty w karczek od 14 do 15, poczem brzegi przy koszuli ryc. 11 wszywają się w kołnierz, przykrojony wraz z krawatką, karczek i kołnierzyk są krajane podwójnie, po nitce prostej przy tylnym brzegu; proste linje stębnówki ponsowej stanowią przyozdobienie. Koszula ryc. 9 ma prócz środkowej zakłady, zastębnowane po dwie węższe z boków i wyszyty szlaczek kolorowy $1\frac{1}{2}$ cent. szeroki. Mankiety 6 cent. szerokie, ścięte w rogach, są również ozdobione wyszyciem. Rycina 10 przedstawia koszulę z zakładkami z jednej strony, a z falbanką plisowaną z drugiej; środek zakłady i rogi kołnierzyka zdobi rzucik w gwiazdy.

N. 16. Paletocik wcinany z szarfą. Krój jak do ryc. 40 w N-rze 18.

Strojny paletocik z marszczonemi plecami, uszyty jest z satin merveilleux, szarfa 40 cent. szeroka, jest z tego samego materyału złożonego podwójnie. Przybranie stanowi szeroka suta pasmanterya sznelowa, przy której u góry i dołu dodana koronka. Rękawy i wykrój szyi przybrany odpowiednio.

N. 19. Kapelusz okrągły.

Ażurowa słomkowa torsadka 3 cent. szeroka, dana na rondku podszytem marszczonym atłasem, z przodu między upięciem i z tyłu przy główce. Blado-żółte róże i strusie pióro dopełniają przybrania.

N. 20. Kapotka koronkowa.

Rondko cztery razy wygięte z przodu, nagarnirowane jest od spodu czarną, z wierzchu białą i czarną koronką. Czarny tiul jedwabny w wielkie sznelowe muszki, służy do pokrycia kapotki, jak również i na końce 208 cent. długie a 26 szerokie. Girlandka z róż mocno rozwiniętych i rozeta z piór zdobią przód kapelusza



N. 32. Suknia z krótkim stanikiem. Patrz ryc. 5—6 i 33. Krój i opis na ark. N. II, fig. 1-9.



N. 25. Okrycie fałdowane w około wykroju szyi. Patrz ryc. 26. Krój i opis na arkuszu N. VI, fig. 29—31a.

N. 22 i 31. Suknia z tuniką zapiętą z boku. Krój na arkuszu N. X, fig. 41—49.

Suknie przedstawione na ryc. 22 i 31 są z materyału gładkiego i w paski. Na formie przodu cienka prosta linja oznacza formę spiczasto ściętego plastronu, dodanego z drobno fałdowanego żółtawego muślinu, z boków ogarnirowanego koronką i przepiętego atłasowemi patkami po 4 cent. szerokości. Przody i boki dopełnione są gładką częścią przykrojoną podług fig. 46; szeroki kołnierz i mankiety naszyte żółtawą koronką. Spódnica nie dochodząca do ziemi oszyta plisowaniem 35 cent. szerokiem, nad którem dane bufowanie 95 cent. szerokie w odstępach 26 cent. przemarszczane drobniuchno.



N. 30. Przód do ryc. 2.



N. 21. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 9.

N. 22. Suknia z tuniką zapiętą z boku. Patrz ryc. 31.

N. 23. Suknia zdobna kokardami. Patrz fig 83 na arkuszu.

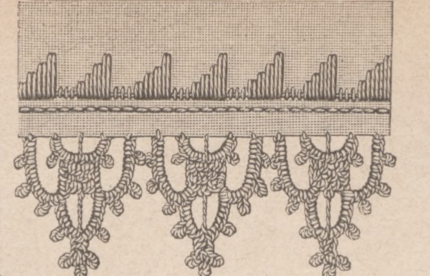
N. 24. Suknia ze szlakami drukowanemi.



N. 27. Okrycie z marszczonemi przodami. Patrz ryc. 14. Krój i opis na arkuszu N. XI, fig 50—55.

N. 28. Okrycie z fałdowaną peleryną. Patrz ryc. 15. Krój i opis na arkuszu N. XII, fig. 56—58a.

N. 29. Okrycie z fałdowaną chusteczką. Krój i opis na arkuszu N. V. fig. 24-28a.



N. 18. Szlaczek i ząbki do kołnierzyka i t. p.

Figura 49 załącza formę tuniki *a*, oznacza szeroki bryt przedni, założony w kontrafałdę i przypięty do mniejszego bryta *b*, jak to wskazuje ryc. 22. Górny brzeg do * przyszyty jest gładko do spódnicy, dalej podług oznaczonych znaków złożone są fałdy, przez które gładki dolny brzeg bryta aż do dwukropka podniesiony jest w górę, Przy wązkim bocznym brycie *b* brzeg górny skośny, 26 cent. szeroki pozostaje gładko, z boków zaś fałdnje się podług znaków. Upięcie z tyłu ułożone z szerokiego, ku górze trochę ściętego bryta *c* sfałdowanego podług znaków i przyszytego do spódnicy.

N. 23. Suknia ze stanikiem z kokardami przy baskinie. Patrz na arkuszu fig. 83.

Może być odrobiona z czarnego bareżu, gęstej matowej gazy, grenadyny lub materyi jedwabnej i odpowiednio do tego przybrana pasmanteryą jedwabną, sznelową lub koronką plisowaną. Przód sukni przedstawia fig 83 na arkuszu z krojami; upięcie tylne przy staniku składa się z końców ogarnirowanych koronką, zaokrąglonych u dołu i przepinanych kokardami z wstążki: pod baskiną dodany jest bryt prosty podwinięty w bufę u dołu. U rękawów i pod szyją suta riusza z koronki.



N. 20. Kapotka.

N. 24. Suknia ze szlakami naśladującemi koronki.

Na tle granatowej weby drukowane są fabrycznie 6 i 10 cent. szerokie szlaki białe, naśladujące koronki, które odpowiednio do kroju sukni zostają nieodcinane lub też przyszywają się jak potrzeba. U dołu spódnicy dane wąziutkie plisowanie, z przodu trzy fałdowane falbany po 40 cent. szerokie. Zamiast draperyi upięty z tyłu bryt prosty, 170 cent. szeroki, złożony w kontrafałdy i przyszyty do paska od sukni. Długi paletotowy stanik ma plecy w dolnej połowie sfałdowane w kontrafałdy z bardzo szerokim odstającym nagłówkiem. Przy przodach dodana kamizelka z ciemno-ponsowego atłasu. Wielki marynarski kołnierz, mankiety przy rękawach, kieszonki i dolny brzeg paletota ogarnirowane koronką. Kokardy z wstążki atłasowej ponsowej i granatowej, 3 c. szerokiej.



N. 26. Okrycie fałdowane w około wykroju szyi. Patrz ryc. 25.

N. 34. Szlak haftem weneckim, do sukien i t. p.

Odpowiednio do czego szlak ma być użyty zmienia się i tło jego; ryc. 34 podaje wzór odrobiony na cienkiem płótnie, świecącemi nićmi; bardzo efektowny będzie szlak haftowany bladym kolorem na batyście lub muślinie indyjskim, albo ciemniejszym kolorem na szarem lub żółtawem płótnie. Do sukien wełnianych można haftować jedwabiem na atłasie, a zamiast supełków naszyć perełki.

N. 35. Negliżyk. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 80 81r.

Podstawa negliżyka ma formę czepeczka dla dziecka, jak to przedstawia fig. 81; fig. 80 daje połowę denka, załczonego z brzegów w pięć fałd do 35 cent. szerokości i wszytego w pasek obszyty drucikiem. Pokrycie denka stanowi kwadrat 20 c. długi, z materyi surah w deseń turecki, oszyty z brzegów fałdowaną koronką 4 cent. szeroką,

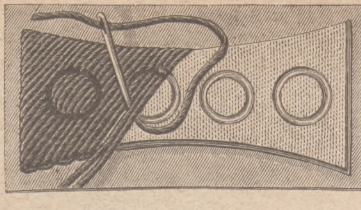


N. 31. Plecy do ryc. 22.



N. 33. Suknia z krótkim stanikiem. Patrz ryc. 5—6 i 32. Krój i opis na ark. N. II, fig. 1-9.

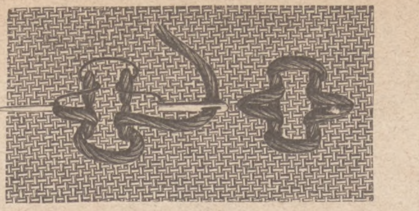
a środkiem kilkakrotnie przemarszczony. Kokarda z atłasowej wstążki 5 cen. szerokiej koloru blado-niebieskiego, ponsowego i vieil-or.



N. 44. Wyszycie litery ryc. 43.



N. 34. Szlak haftem weneckim do sukien i t. p.



N. 45. Wykonanie płaskiego ściegu do ryc. 88 na arkuszu.

Tygodniku. Fig. 87 załącza deseń do ryc. 41, w którym figury wyszyte są bawełną szafirową, a arabeski ponsową.

N. 36. Negliżyk z karczkiem. Krój na arkuszu N. XVIII, fig. 79.

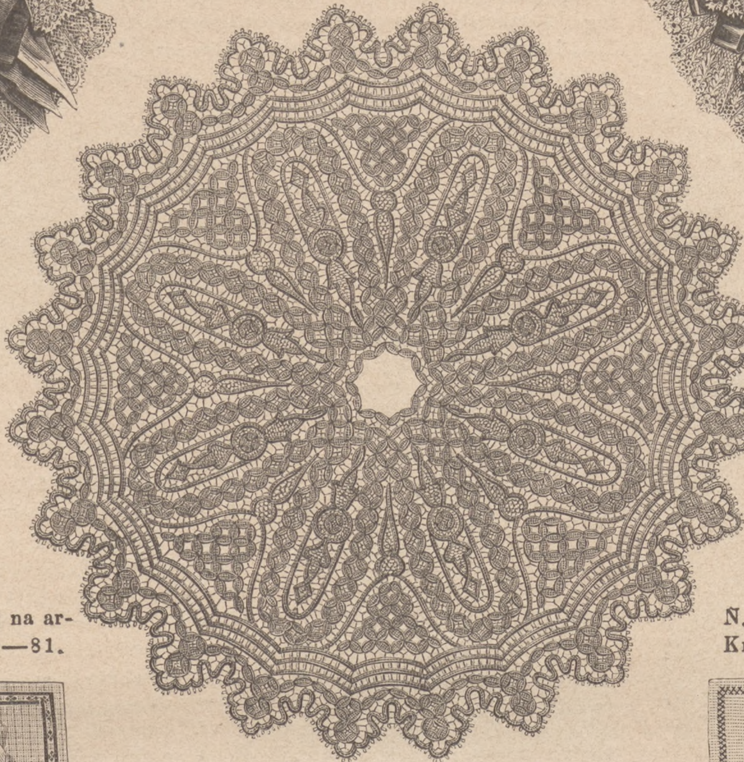
Podstawa ze sztywnego tiulu oszytego drucikiem, założona w sześć wązkich fał dek liczy z tyłu 23 cent. szerokości. Do ubrania służy koronka 5 cent. szeroka, wierzchem karczka z tyłu przechodzą końce z podwójnej gazy po 50 cent długie, a po 20 szerokie; kokardy z wstążki 3 cent. szerokiej.

N. 37. Chusteczka z żabotem.





N. 35. Negliżyk. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 80—81.



N. 39. Przykrycie z koronki irlandzkiej na parasolkę. Deseń na arkuszu fig. 38.





N. 36. Negliżyk z karczkiem. Krój na ar. N. XVIII, fig. 79.

N. 38. Chusteczka ze stojącym kołnierzem. Patrz ryc. 38 w N-rze 23. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 72—73.

N. 37. Chusteczka pelerynowa.

Chusteczka na szyję odrobiona z materyi surah i garnirowana koronką, ułożoną z przodu nakształt żabotu przepinanego kokardami z wstążki atłasowej białej, 3 cent. szerokiej.



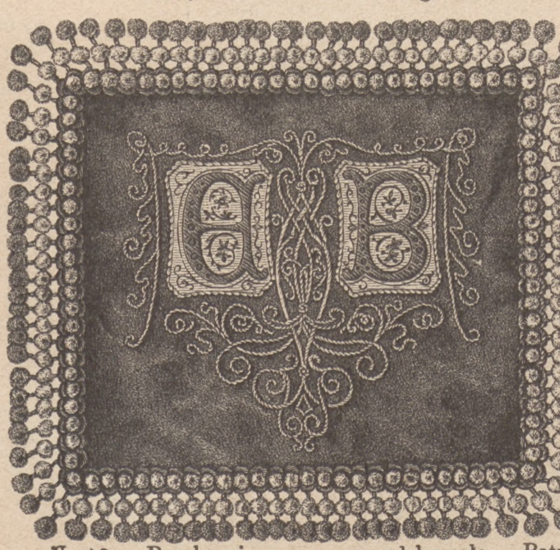
N. 40. Serwetka dla dziecka.



N. 41. Serwetka dla dziecka. Deseń na arkuszu fig 87.

N. 39. Pokrycie koronkowe na parasolik. Deseń na arkuszu fig. 38.

Koronka irlandzka do przykrycia parasolika liczy wraz ze szlakiem 58 cent. średnicy; fig. 38 podaje ósmą część deseniu; do roboty użyta tasiemeczka gładka i medaljonowa, pajączki dodane cienkiemi nićmi; brzegi oszyte pikotami.



N. 42. Przykrycie na poręcz od krzesła. Patrz ryc. 43—44 i fig. 39.

N. 42 — 46. Serwetka na poręcz od krzesła. Haft naśladujący amalję. Deseń na arkuszu fig. 39.

Nowy ten rodzaj haftu może być wykonany tylko przez osoby mające wielką wprawę do haftu, wymaga niezmiernej uwagi i musi być wszyty w krosienka. Rycina 43 przedstawia jedną literę w połowie naturalnej wielkości i widać na niej dokładnie odrobienie haftu; fig. 39 załącza w naturalnej wielkości drugą literę otoczoną arabeskami ze złotego sznureczka. Zaczynając haft na wszytym w krosienka pluszu (np. oliwkowym) potrzeba tarcze na których są litery wykleić najpierw szyrtyngiem podłożonym papierem. Każda litera wycina się z bardzo grubej tektury i przed aplikacyą ma nacięte kontury kółek, odznaczających się w środku; poczem zaczyna się haft pokrywający litery, podobny do haftu płaskiego, wskazany na ryc. 44. Ściegi idą tak jakby do podkładania pod haft złotem i dane są podwójną nitką jedwabiu (bordeaux); ażeby nitki nie rozsuwały się i nie odsłaniały tektury, trzeba je gdzieniegdzie przyczepiać nitką jedwabiu nawleczoną w grubą igłę do przekłucia tektury. Gdy podwójne nitki przechodzą nad kółeczkami, są również w zagłębieniach przeszywane ściegami podług ryc. 44. Tarcza na której leży litera, wyszyta jest rzędami podwójnej nitki złotej, przeszywanej w podłuż żółtym jedwabiem, jak na ryc. 43. Kwiatki w środku liter haftują się kolorowym jedwabiem ściegiem płaskim na perkalu, wycinają i aplikują w odpowiednich miejscach, otaczając brzegi złotym sznureczkiem. *(D. n.)*

N. 40—41. Serwetki dla dzieci.

Odpowiednie do zawiązania przy jedzeniu, mogą być z dymki-brylantyny lub t. p. materyału w drobny deseńik; frendzla przy ryc. 40 jest wysiepana na 6 cent. długości. Wyszycie kolorową bawełną ściegiem krzyżykowym lub sznureczkowym, podług deseni podawanych w



N. 46. Kwadrat do kołdry ryc. 17 w N-rze 24.



N. 43. Litera w połowie naturalnej wielkości do ryc. 42.



N. 47. Deseń do kołdry ryc. 17 w N. 23.